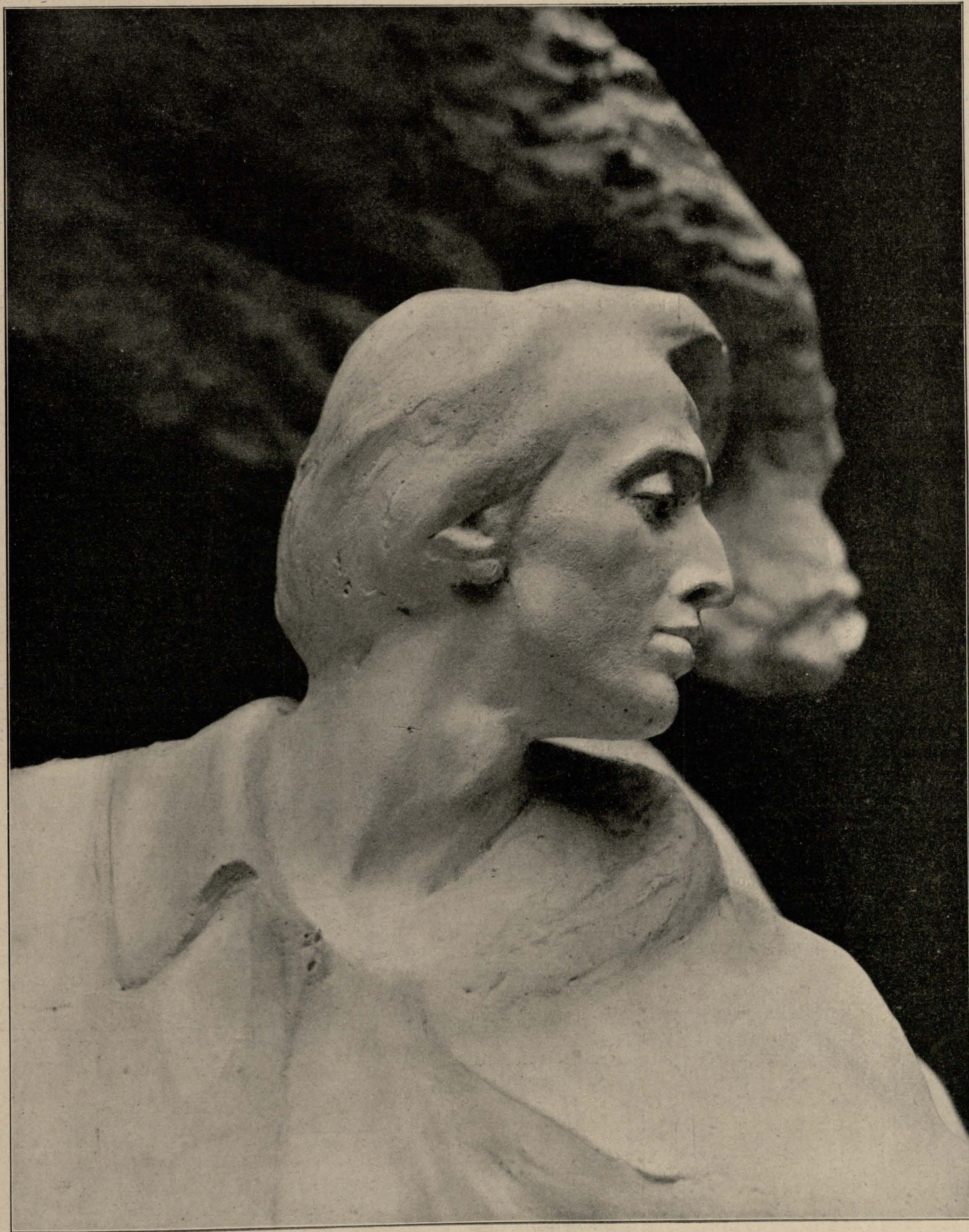


TYGODNIK ILLUSTROWANY



GŁOWA CHOPINA
Z projektu, odznaczonego 1-szą nagrodą.

WACŁAW SZYMANOWSKI

CZESŁAW JANKOWSKI:

NA LITWIE I BIAŁEJRUSI.

Artykułem niniejszym, pióra jednego z wybitnych znawców stosunków litewskich, posła do I-szej Dumy z pow. oszmiańskiego, otwieramy dyskusję w sprawie pałacej: stosunków polsko-litewskich w granicach dawnego W. Ks. Litewskiego. W dyskusyi tej już przyobiecali nam swój współdziałanie najprzedniejsi działacze polscy na Litwie.

Tradycyjna, ściśle związana ze wspomnieniami Horodła i Lublina „Litwa” prześlęła w wyobraźni naszej ostatnich lat pięćdziesiąt snem zaczarowanej, z bajki, królowny. Po ostatniej insurekcji narodowej naszej, która zdołała jeszcze wstrząsnąć przynajmniej lasami nad Niewieżą, Wilią i Berezyną, złożyliśmy ją, Litwę „naszą”, do skarbcowej trumny kryształowej raz jeszcze... I strześliśmy, jak żrenicy oka, nietykalności tych „kresów” naszych, letargiem, mówiliśmy, zdjętych, spoczywających pod mitrą wielkosiążecą, w płaszczu jagiellońskim o wyszytych na karmazynie Orle i Pogoni.

Tam, jak mgła, rozsnuta po łące od zmierzchu do świtu, trwał pilnie chroniony od wstrząśnień i naruszeń najłżejszych, jeden z naczelných mirażów polskiego imperyalizmu. Unosiła się nad nim, jak nienaruszalny, co do litery, tekst Ewangelii, pieśń Mickiewicza: „Litwo, ojczyzna moja”; śpiewały mu polskie gawędy Kondratowicza o „Litwie rodzonej, ziemi naszej świętej,” stał nad nim, jak aureola, blask oświatowej działalności Czartoryskiego, ideowej górnosci Filaretów, poetyckiego polotu romantyków naszych, prac naukowych Tyszkiewiczów, Narbutów, Balińskich, Kirkorów, Daniłowiczów...

Słabnące powoli, lecz wciąż jeszcze widoczne promieniowanie długoletnich wkładów kulturalnych naszych na Litwie i Białejrusi sprawiały istotnie wrażenie trwającego tam wciąż jeszcze polskiego kulturalnego stanu posiadania. Złudzenie materialnego stanu posiadania nadawało ziemiaństwo, trzymające się ziemi, pod ukazem „grudniowym”, *unguis rostroque*; historia, urywana zazwyczaj na roku 1795, podsyciała wyobraźnię.

I oto ogromny ten kraj „kresowy”, zwany w urzędowej administracyjnej nomenklaturze Północno-Zachodnim, lat temu cztery drgnął do posad. Perkusya to była wstrząśnięć niebywałych, przebywanych wówczas przez całe geograficzne Państwo Rosyjskie. Od wstrząśnienia tego—zbudziła się zaklęta królowna; od wstrząśnienia tego—oderwał się od ziemi na Litwie i Białejrusi miraż imperyalistyczny polski, pajęczemi nici przywarty do dworów i dworków „litewskich”, do wieżyc kościelnych, do zwalisk—i uleciał, rozwiewając się, jak mgła, trącona brutalnym światłem dziennym. Wyszła na jaw i rozłożyła się przed oczyma naszymi: faktyczna istota i fizyognomia kraju.

Teraz już nie rzecz ani odwracać oczu, ani ich zamy-

kać; tem mniej z pod chmur gdzieś zgarniać strzępy długoletnich złudzeń i omotywać nimi napowrót rzeczywistość. *Dura lex, sed lex*. Z pod nieubłaganego prawa faktów dokonanych nie wyłamać się. Fakty zaś dokonane i realne mówią, co następuje.

Morze polskie, jak wyraził się gdzieś Witkiewicz, do niedawna szeroko rozlane, cofa się w pra-łożysko swoje, do basenu Polski etnograficznej, zostawając po sobie w rozległym promieniu ślady wód swoich: żyzny namuł kultury naszej.

Obraz trafny niezmiernie i dosadny. Z byłych kresów b. Rzeczypospolitej spłynęła państwowość Polski, znikły nawet ślady jej, wytepiane systematycznie, wytrwale, zawzięcie; ostał się tu i owdzie pokost, polor, a gdzie indziej głęboki posiew kultury i obyczajowości polskiej. Najmocniej i na najszerszą skalę oparła się „czasu dziwnym przemianom” ostoja religii rzymsko-katolickiej, zwanej „polską” od ogniska, skąd ogień święty Stolicy Apostolskiej ongi przyniesiono.

Lecz z pod tego „namułu” wyrzało, po ustąpieniu wód polskich, rzeczywiste dno kraju. I dno owo żadnego już wogóle zalewu znosić nie chce i znosić nie będzie. Będzie łąką, polem ornem lub lasem, lecz nie będzie morzem niczyjem. Dno, fundament etnograficzny Litwy i Białejrusi stanowi dziś: włościaństwo, lud wiejski.

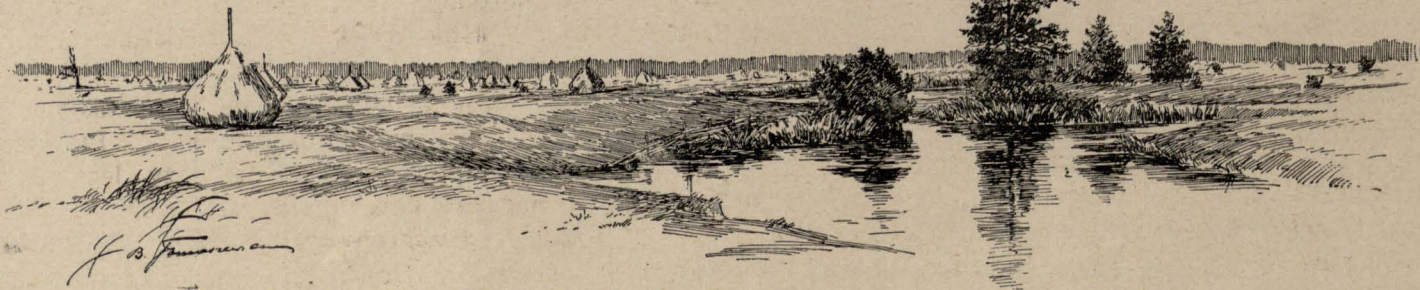
W inercyi niewoli, jako pospolite narzędzie robocze, trwał ów lud za pańszczyznianych czasów; potem usamowolniony, wyposażony w samorząd, o jakim marzyć nie wolno było innym, oświeconym stanom, ale zarazem ciemny niezmiernie, głodem przywierający na ziemi *własnej*, której zażyć rolniczo nie umiał, lud ten stanowił przez ostatnie półstulecie, demoralizujący się coraz fatalniej: proletaryat wiejski. Dzięki tylko wrodzonym przymiotom nie stał się szalonym zwierzęciem podczas ostatnich wybuchów, rozgrzanych radykalną propagandą.

Lecz od roku 1904 walka socjalna klasowa, stara, odwieczna walka rozpoczęła się *en règle* na Litwie i Białejrusi. Formy jej są łagodne; da Bóg, że racjonalne reformy społeczne i ekonomiczne pozwolą utrzymać ją nadal w tych formach,—lecz walka klasowa równoległa z walką polityczną nadaje obecnie zasadniczy ton stosunkom tamtejszym. Głośna dziś bowiem walka narodowościowa litewsko-polska jest niczem innym, niż pospolitą walką klasową, idącą dla *decorum* pod flagą nacyonalizmu, mającego szlachetniejsze ideowe pozory. Nacyonalizm białoruski, również opierający się na masach włościaństwa, jeszcze się nie obudził. Budzą go już jednak powoli różne zrzeszania się żywiołów so-

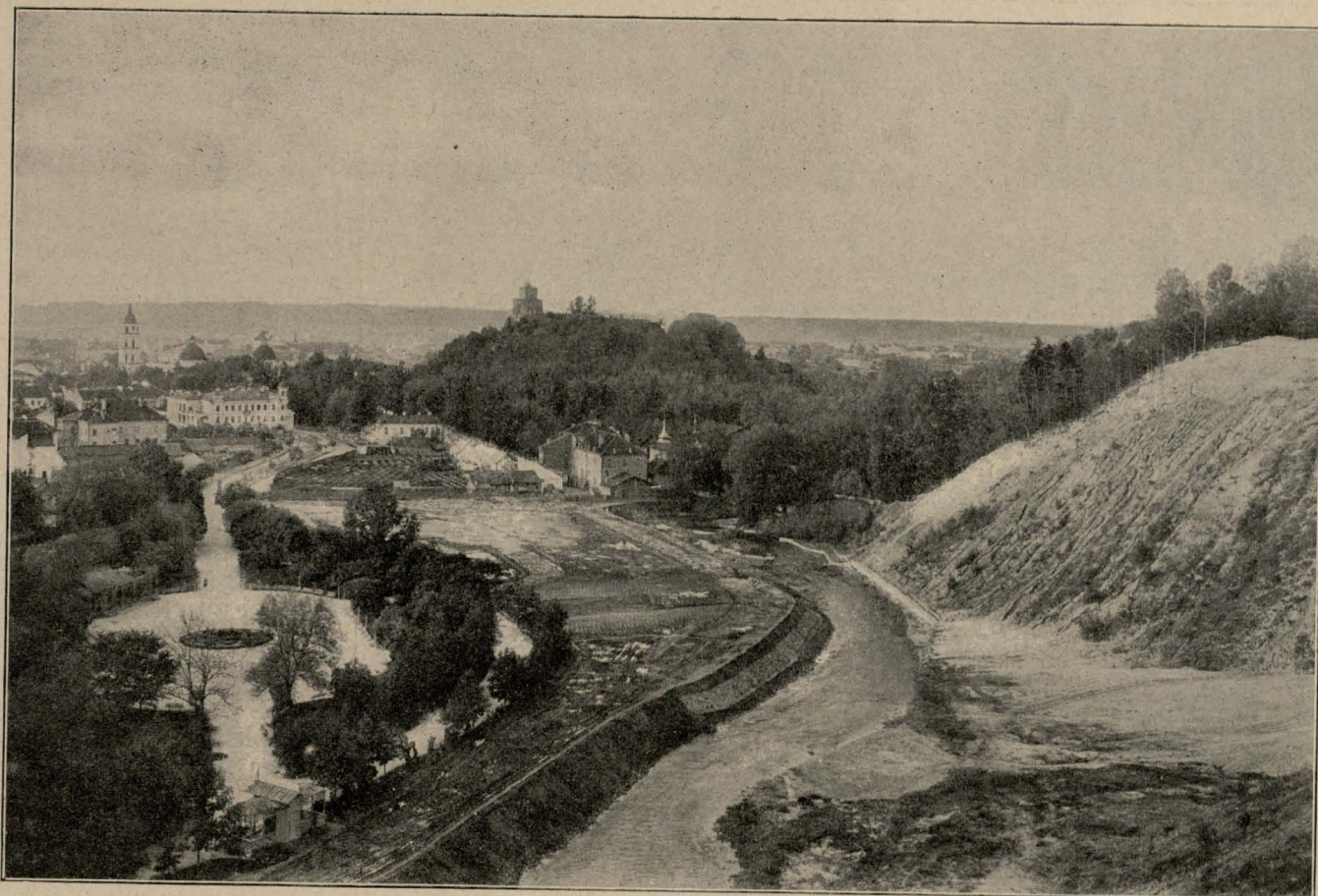
cialnie „postępowych”, pozwalając przypuszczać, że „spór” białorusko-polski również będzie rychło jedną z form walki klasowej.

Polska inteligencja bowiem nie-ziemiańska na Litwie i Białejrusi, mająca, w dwóch trzech miastach, oboziki swoje, jest w gruncie rzeczy garstką, nie powołaną do roli wybitniejszej. Znaczne ją zresztą filiacje łączą z ziemiaństwem, lub do niego zbliżają. Tamtejszy czynnik społeczny poważny stanowią Polacy, posiadający ziemię lub kapitał. Tworzą też solidarną pod względem najżywnotniejszych interesów klasę posiadającą. Do niej przylega mrowie t. zw. szlachty zaściankowej, *vel* drobnej, *vel* „okolicznej” (od nazwy „okolica szlachecka”), aczkolwiek włościański prowadzący tryb życia i całkiem nie uświadomionej. I owóż ów żywioł polski, począwszy od właścicieli magnackich dóbr, liczących dziesiątki tysięcy dziesięcin, a kończąc na szlachetce dwuwłokowym, stanowi jedną klasę posiadającą, klasę zasadniczą—podobnie jak na całym Bożym świecie—tych, którzy mają i nie chcieliby oddać. Lud zaś wiejski włościański, łącznie ze skąpą lub pseudo-inteligencją litewską (białoruskiej inteligencji niema), stanowi klasę tych, którzy nie posiadają, a pragnęliby mieć. Na podwójnej osi odwiecznej walki tych dwóch „stronictw” obraca się przecie dola i niedola społeczeństw ludzkich—wszędzie.

Oto ideowy, a zarazem realny fundament stosunku do siebie trzech narodowości, osiadłych na prawach autochtonów na Litwie i Białejrusi. Podstawa—obecnie—stosunków tam polsko-rosyjskich ma natomiast wyłączny niemal charakter polityczny. Rosyianie tamtejsi zwartą ławą, bez względu na osobiste inklinacje i przekonania, czują się w obowiązku bronić w kraju t. zw. państwowości rosyjskiej i ugruntowywać ją. Kultura polska uznawana tam jest wciąż jeszcze oficjalnie za czynnik *polityczny* i przeto zwalczana jest narówni z każdym objawem tak zw. separatyzmu. Z największą czujnością pilnuje obecnie państwowość nacyonalistyczna, aby, strzeż Boże, lud białoruski nie podlegał wpływowi kultury polskiej, czyli tak zw. polonizacji. Lud litewski, dzięki propagandzie nacyonalistycznej litewskiej, obaw pod tym względem nie budzi. Próbowano uświadomić Białorusinów, że żadna odrębność narodowa lub szczepowa białoruska nie istnieje, że Białorusini to z krwi i kości—Wielkorosy. Ostatnimi czasami dano akcyi tej za wygraną, i prawdopodobnie poparcie otrzyma ruch białoruski nacyonalistyczny, jako zaszachowanie rzekomej



Krajobraz z nad doptywów Berezyny, na granicy gub. wileńskiej i mińskiej. Rys. z natury R. Tomaszewicz.



WIDOK NA WILNO OD STRONY 3-ch KRZYŻY I BEKIESZÓWKI.

akcyi polonizatorskiej—bez wyrzekania się jednak idei, o ile się da, wzięcia Białorusinów pod wpływ kultury rosyjskiej.

Żydzi—ci już wybór swój uczynili. Przechylili się stanowczo na stronę: obyczaju, języka i kultury rosyjskiej. W asymilizacyjnym polszczeniu się (jak do roku 1863) korzyści żadnej dla siebie nie widzą. Chmary żydowskiego mrowia, zalewające miasta, miasteczka, a poczęści i wioski na Litwie i Białejrusi, znakomicie przyczyniają się do rusyfikowania ludu miejscowego. Gdyby nie radykalizm socyalny znacznych warstw żydowskich, państwowość rosyjska miałaby w nich o wiele dzielniejszych sojuszników, niż w zastępach napływowej biurokracyi. Niepewne to atoli narzędzie i przeto nie „używane”, tylko tolerowane. Nacyonalisci żydowscy, a *certum quantum* jest ich i działa wcale energicznie, zamanifestowali absolutną wrogość dla wszystkich wogóle istniejących w kraju narodowości. Pomijając rozrost niemały prasy żargonowej, biją już w oczy szyldy i ogłoszenia po rogach ulic—w żargonie.

Dla nas do roku 1904 w wyobraźni naszej istniała na Litwie i Białejrusi jedna tylko kwestya narodowa: polska. Okazało się, że fermentowały trzy, może cztery; a obecnie w pełnym ruchu są już trzy, zaś czwarta w zawiązku i odwodzie. A ponieważ nie stoją one na gruncie żadnego mżonkowego imperyalizmu np. litewskiego, białoruskiego, żydowskiego, lecz na gruncie, jak się rzekło, socyalno-ekonomicznym, bardzo pozytywnym, przeto też, rzecz prosta, są dla bytu naszego w kraju są o wiele donioślejszego znaczenia, niż np. historyczne, akademickie rozprawy.

Otośmy bowiem tam, na b. kresach północno-wschodnich, jakby na kowadle pod kilku młotami. A jakąż jest odporność nasza

narodowa, to jest kulturalna, oraz ekonomiczna, gdyż innej broni odpornej nie mamy?

Bezwzględnie szczerą odpowiedź wypaść inaczej nie może, jak, że oporność narodowa i ekonomiczna półtora miliona Polaków, pozostałych na Litwie i Białejrusi, wobec milionowych mas Litwinów i Rosyan, Białorusinów i Żydów—zmniejsza się stopniowo. Pozory nie powinny nas w błąd wprowadzać. Napisy polskie na szyldach miejskich, kilka instytucji nowych polskich, wiodących ciężki żywot (prasa, teatr), a z drugiej strony przejażdżki na Rivierę ziemianstwa naszego, wreszcie posiadanie w kraju „marki” najkulturalniejszej, lecz mogącej mieć zastosowanie do niezmiernie szczupłej grupy obywateli, w dodatku nierównouprawnionych—wszystko to optymistycznie nie ma prawa nas nastrajać. Wręcz przeciwnie. Ani na jednej placóweczce naszej nie mamy prawa spać spokojnie.

Przedewszystkiem własność ziemska uchodzić nam zaczęła z pod nóg ostatnimi czasy w sposób zatrważający. Niema racyi upatrywać w tem objawu—nienaturalnego, lecz objaw to dla polskiego stanu posiadania, fatalny. Majątek po majątku idzie na sprzedaż. Nabywcy Polacy stanowią istną rzadkość. Ofiarność prywatna na cele publiczne, ściśle związane z bytem narodowym—żadna. A istnienie o własnych siłach nawet prasy i teatru polskiego wciąż jeszcze ustalić się nie może. Słaba liczebność nasza, słaba ofiarność, a słabnąc zaczyna i zasobność finansowa. Nieliczne fortuny ziemskie pokaźniejsze, a nawet wręcz okazałe, tkwią jeszcze gdzieś, rozproszone po bagnach pińskich i zmudzkich łąkach pszenicznych, ale to rzadkie *gniazda prywatne*, najczęściej odosobnione, nie grające żadnej roli w życiu społecznym. Wszelka inicjatywa

zrzeszenia się lub akcyi solidarnej, utruciona zresztą bardzo na ogromnych przestrzeniach sześciu gubernii, napotyka albo na apatyę, albo na sobkostwo, albo na lenistwo, albo na niedołęstwo absolutnego nieoryentowania się w sprawach publicznych. Warunki rolne, naciskane zwiększonymi podatkami, coraz uciążliwsze, a intensywność eksploatacyi gospodarstw i gleby—w zastoju.

Ostatnimi czasy wiele zużyto papieru, głosu i nerwów dla „uregulowania” stosunków litewsko-polskich. Sformułowano najpiękniejsze zasady, stoczono najzawziętsze polemiki, a w dziedzinie spraw kościelnych ustanowiono nawet rodzaj komisji rozjemczej. Są to wszystko paliatywy i surogaty. Litwini są urodzeni realiści i pozytywiści, hołdujący bardzo trzeźwemu utylityzmowi. Żaden im frazes, żadna formułka ideowa nie trafią do przekonania. Rozstrzygającym jest dla nich—fakt. Rozgraniczyć w kraju „sferę wpływów” polskich, oraz litewskich i, co za tem idzie, ustalić i unormować oba stany posiadania, mogą jedynie fakty dokonane lub mające być dokonanymi z matematyczną ścisłością przez *silniejsze*, niżli inne: kulturę, zamożność ekonomiczną.

Nie z żadnymi ideologami i frazeologami traktować będą i układać się Litwini, lecz z mocną kulturą i ekonomicznie zamożnym żywiołem.

Bez tych dwóch atutów w rękę nie siadajmy do żadnej gry na Litwie i Białejrusi—z nikim. Przegramy zawsze, choćby nam najdalej idące koncesye przyznano.

Przykazanie jedno tylko niech nam służy, lecz przykazanie podstawowe: Bądźmy silni! Silni: żelazną pracowitością, lotnym, a zasobnym w wiedzę pozytywną rozsądkiem, nieskazitelną prawością i zasobnością w środki materyalne. A reszta—w rękę Boga.



UNIA (FRAGMENT)

JAN MATEJKO

WACŁAW SOBIESKI:

Na Wawelu a na Kremlu.

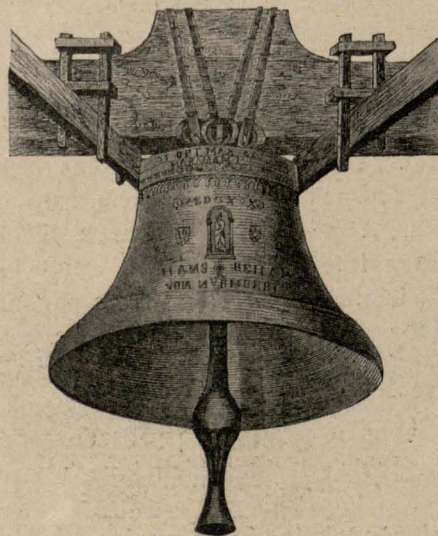
3)

Do jakiego stopnia ta walka przejmuje obu rywali, a szczególnie Zygmunta Augusta, to widać np. z wielkiego wrażenia, jakie wywołuje na ostatnim Jagiellonie wiadomość, że Iwan zdobył Połock. Na wiadomość o tej stracie, w obliczu całego sejmu zalał się łzami. Pod wrażeniem też tych zaborczych roszczeń Moskwy do całej Rusi, Zygmunt August obmyślił dla Polski ratunek: unię. W obawie, aby Iwan po jego bezpotomnej śmierci nie oderwał od Polski całego ruskiego wschodu, postanawia za życia swego spojć Litwę i Ruś tak silnym węzłem z Koroną, żeby już nigdy odpaść nie mogły. I tu rodzi się myśl unii, unii, która ma się stać ostoją dla państw Jagiellonów przeciw napastniczemu caratowi, ma się stać przeciwnym mu ośrodkiem centralizacji i skojarzeniem nowej republiki federacyjnej pod hasłem: „Unus rex, una natio, una lex”.

Rzucił to hasło i za tym powabnym programem federacji i złotej wolności poszły też wnet i Inflanty i Prusy zachodnie i Litwini, wśród których pierwszym i najgorliwszym agitatorom za unią był sam król. Tam, na Litwie, Zygmunt August sam rewolucjonizował niższą szlachtę przeciw magnatom, pobudzał ją do życia parlamentarnego i podkopywał nawet powagę własnego stanowiska, zrzekając się dziedziczości tronu. Ale nie dość tego było szlacheckiemu królowi! Zygmunt August, niestrudzony agitator „złotej wolności” i unii, podjął myśl jeszcze dalej idącą, myśl rozszerzenia tej propagandy jeszcze dalej, aż hen poza Dniepr, aż w samą głąb Moskwy, aby tam, w własnej ojczyźnie rywala, tą złotą wolnością podkopać jego tron,

podważyć i zburzyć carat moskiewski! W tym też celu wysłał nawet do Moskwy takich agentów, jak bojar Kozłow, i czeka, rychło od wschodu ujrzy łunę wybuchającej przeciw carowi rewolucji bojarów.

Ale i Iwan Groźny rozumiał dobrze, jak groźne niebezpieczeństwo grozi jemu i caratowi od chwili zawarcia unii lubelskiej. To też gniew jego wprost nie miał już granic, kiedy na domiar tego wszystkiego dowiaduje się, właśnie w chwili zawierania unii lubelskiej, że hasła tej unii oczarowały i zwały nawet niektóre z jego własnych ludów i że mianowicie mieszkańcy W. Nowogrodu wygotowali już pismo do Zygmunta Augusta, ażeby odpaść od Moskwy i złączyć z Litwą... Na wieść o tem Iwan wpadł w jakiś niepohamowany szał krwiożerczy, wpada do Nowogrodu, każe zatłuc pałkami setki czerńców, równa z ziemią hale targowe, na rynku torturuje w wyszukany sposób spiskowców, a w końcu każe rzucać z mostu do rzeki i topić całe setki i tysiące nieszczęśliwych Nowogrodzian i Nowogrodzianek, którym do piersi kazał przywiązywać ich własne niemowlęta.



Dzwon Zygmunta w Krakowie.

Takiem to krwawym dziełem masowego mordu odpowiedział Iwan na unię lubelską, na dzieło zbratania dwu narodów. W tym samym czasie, kiedy ostatni Jagiellon na drodze perswazyi i układów dwa narody, jak pisał Kochanowski, „spinał sercem i myślami”, kiedy wiązał swe kraje litewskie z zachodnią cywilizacją, w tym samym czasie prawdziwie orientalny władca za wzorem chanów tatarskich topił w potokach krwi bunt tych, którzy chcieli zakosztować „złotej wolności”. Kiedy tam, w Lublinie, mówił Jagiellon do obu narodów: „Ufajcie sobie nawzajem, bo z ufnością tem większa miłość i zgoda między wami rość będzie”, to tu, w Nowogrodzie, syn Ruryków fundował swe państwo nie na zaufaniu i miłości, ale na męczarniach, na katuszach, na strachu i grozie. Tam, w Lublinie, działał Europejczyk, tu, w Nowogrodzie, człowiek „wschodni”.

Poza tem wszystkim był jeszcze jeden powód, dla czego Iwan dokonał w Nowogrodzie tak strasznej represyi. Iwanowi chodziło dlatego tak bardzo o ten Nowogród, dlatego pragnął tak w tem właśnie miejscu wytepić doszczętnie tego szerzącego się raka zdrady i buntu, gdyż przez teu Nowogród właśnie Moskwa sięgała ku Bałtykowi. Dotarcie do tego morza i do tych miejsc, gdzie później stanie Petersburg—to był jeden z najwitalniejszych celów polityki Iwana, a zarazem jedna z najważniejszych przyczyn jego walki z Zygmuntem Augustem. Zygmunt August bowiem, rozumiejąc całe niebezpieczeństwo dla Polski, gdyby ten jej śmiertelny rywal dorwał się do wybrzeży bałtyckich, bronił mu z całych sił tego przystępu i wrywa mu Inflanty...

Aby w tych śmiertelnych zapasach o odczech ku życiodajnym falom morza zyskać sobie sojusznika, Zygmunt August wpada na szczęśliwy pomysł związania się ze Szwecją i oddaje rękę swej siostry Katarzyny Janowi, przyszłemu królowi szwedzkiemu. Tym zręcznym manewrem godził Zygmunt August w Iwana, i to tem więcej, że właśnie sam Iwan zabiegał uprzednio o rękę Jagiellonki. To też niełatwo zniósł tę rekuzę Iwan Groźny. Odpalony konkurent kipiał od gniewu i przysięgał, że trupem położy brata Katarzyny, nawet zamysłał przemocą wyrwać Jagiellonkę od boku jej męża Jana.

Od chwili tej rekuzy, gdy wszelka nadzieja związków krwi między obu dynastiami, Jagiellońską i Rurykową, znikła raz na zawsze,—od tej chwili wybucha już w całej pełni nieugaszony rozbrat między tymi dwoma reprezentantami tych słowiańskich dynastii. Ten Jagiellon i ten potomek Ruryka odczuli do żywego teraz tę zawiść wzajemną, jaka od wieku tliła między tymi dwoma współzawodniczącymi rodami. Odczuli to tem więcej, że obaj byli ostatnimi wyrazicielami tych dwu dynastii i, jako „ostatni”, tem dosadniej streścili w sobie, skupili i urzeczywistnili wszystkie dążenia tych dwu zawistnych sobie rodzin.

Jeden z nich, Iwan, którego można nazwać ostatnim wyrazicielem dynastii Rurykowiczów—bo syn jego i następca Fiedor to jest moralne zero—Iwan, powtarzam, doprowadził do szczytu samodzierżawie i carat, a więc spełnił ten program, który sobie zakreśliła i wypracowała jego dynastia. Drugi z nich, ostatni Jagiellon, doprowadził do skutku tę unię, nad której spełnieniem pracowała cała dynastia Jagiellońska...



IWAN GROŻNY (FRAGMENT)

JAN MATEJKO

Tak więc te dwie ostatnie latorośle dwu wymierających dynastii zostawiły swym narodom na dalszą wędrówkę dziejową tak różne hasła, zostawiły im w testamencie dwa tak różne drogowskazy; obaj wskazywali im drogi w dwie zupełnie przeciwne strony, i dopiero przyszłe dzieje miały wykazać, która to droga miała zawieść na manowce, a która miała zaprowadzić do krainy szczęścia i do ziemi obiecanej.

Kto wie nawet, czy u samego Jagiellona, pod sam schyłek jego żywota, nie zachwiała się wiara w zbawienność hasła szlacheckich? W przededniu śmierci jakieś zwątpienie i pesymizm bije z tych czarnych, pełnych melancholii ocz i od tej bladej twarzy i od tej żalobnie przybranej, całej postaci polskiego króla-Hamleta.

Otoczony zalotnicami, przezywany przez magnatów Sardanapalem, ostatni Jagiellon gąśnie bezpotomnie i w obliczu nieuchronnie teraz nadciągającej, groźnej burzy bezkrólewia przemyśliwa, jakby tę burzę zażegnać, a pograżony w czarnych myślach, wpada na pomysł, który zdaje się być wprost zaprzeczeniem całego jego dotychczasowego programu życia.

Oto podsuwa Polakom radę, aby po jego śmierci wybrali na tron polski monarchę „z północy” t. j. ni mniej, ni więcej, tylko Iwana Groźnego, a więc tego samego, z którym walczył przez całe życie. Jaki? więc ten nieubłagany wróg jego zasad ma wstąpić na Wawel i skronie tego tyrana ma dotknąć korona dobrotliwych Jagiellonów? Więc oddać wszystkie tajniki państwa i cały ster Rzeczypospolitej temu chytremu Rurykowiczowi, aby wszystko w niej wywrócił i przeinaczył? Czy, rzucając taką myśl, nie uląkł się Zygmunt August o swój Wawel i o wszystkie na nim skarby i świętości narodowe i choćby nawet o te jego ulubione przepyszne kobierce flandryjskie, którymi sam Zygmunt August z taką pieczołowitością ozdobił ściany swego zamku wawelskiego, a które w końcu istotnie miały powędrować tam, na północ, aby zdobić dziś pałac w Gatchynie?

Oczywiście, Zygmunt August, rzucając myśl

wyboru Iwana, spodziewał się zgoła odmiennych owoców. Syn chytrej Włoszki, ofiarowując Iwanowi koronę Jagiellonów, był przekonany, że nie tylko przez to nie podkopie własnego gniazda, ale, przeciwnie, podkopie Moskwę, bo tą drogą otworzy bramy Moskwy dla propagandy polskiej unii i wolności, bo tą drogą polski żywioł weźmie górę nad moskiewskim i go pochłonie.

Ale również pewien był siebie i sił własnego narodu Iwan Groźny i dlatego i on nie odrzucił tego projektu. Owszem, sam się oburącz chwycił tej myśli i już sobie układał i zastrzegał, że na Wawelu będzie go koronować nie prymas polski, ale sprowadzony metropolita moskiewski, i już sobie roił, że podsyci prawosławie na Rusi litewsko-ruskiej i przyłączy ją wraz z Kijowem do Moskwy.

Nic dziwnego, że, wobec takich warunków Iwana, jego kandydatura na obu elekcyach po śmierci Zygmunta Augusta upada. Na tych elekcyach dowodnie się właśnie okazało, jak wprost niemożliwa jest unia i połączenie śród tych dwu tak wrogich sobie i sprzecznych społeczeństw, z których każde niezłomnie strzeże swych dogmatów i żadną miarą od nich nie chce odstąpić. Na tych elekcyach w obliczu świata rozwarła się przepaść między dwiema antytezami w świecie słowiańskim, i, jak dotąd zawsze, tak i nadal Król-

Duch Słowiańszczyzny miał się przejawiać w dwu krańcowo-przeciwnych postaciach, tak wyraźnie przez Słowackiego ukazanych. Jeden — to Król-Duch, wzorowany wiernie przez Słowackiego na Iwanie Groźnym, z tą nieubłaganą, żelazną, niezłomną wolą monarszą, co umiał „zahartować swój naród na ból” i „nauczył go śmiercią gardzić”, — drugi Król-Duch — to ten, co sieje dokoła „Łaskawość pogodną” i „Dobroć cichą”, ten, co szerzy unię i tolerancję, ten, co ukochał ponad wszystko — wolność.

Dwa różne gusty, dwa różne duchy, dwa różne narody, których serce tak różnie bije, jak inaczej dźwięczy nam rozkołysany wawelski dzwon „Zygmunt”, a inaczej dzwoni ów drugi, nazwany Iwanem, kiedy weń biją na Kremlu.

KONIEC

WIKTOR GOMULICKI:

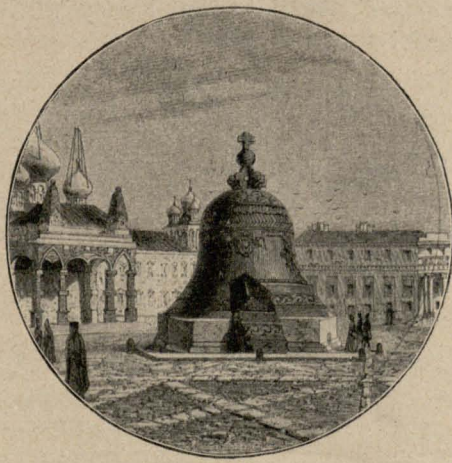
SPŁOWIAŁE KARTKI

Błogosławieni, co skończyli boje
I już odeszli, skąd się nie powraca...
Pomiędzy nami stoi tamtych dwoje
I oczy na nas w milczeniu obraca.

Zanim wieczności pochłoną ich zdroje,
Jeszcze swych śladów szukają na ziemi...
Pomiędzy nami stoi tamtych dwoje,
I patrzy na nas oczyma dziwnymi.

Jeszcze zazdrośni o miłości swoje,
Jeszcze ich trwożą istoty kochane...
Pomiędzy nami stoi tamtych dwoje
I nie drży — chociaż dostrzega odmianę.

Ty ból mój cieszysz, ja smutek twój koję,
Jesteśmy dobrzy i jesteśmy prawi...
Pomiędzy nami stoi tamtych dwoje,
I nie złorzeczy nam, lecz — błogosławi.



Car Kołokoł w Moskwie.

BOLESŁAW PRUS:

Zwycięzcy i zwyciężeni.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Według jednozgodnej opinii turystów, podróż Dunajcem od Czerwonego Klasztoru do Szczawnicy ma być nadzwyczajnie oryginalna. Na długości kilku mil bystry nurt rzeki niesie czółenka między zielonemi wzgórzami, cichemi łączkami, buketami drzew iglastych, a najczęściej—pomiędzy ścianami skał niebotycznych i groźnych. Co kilka minut Dunajec zwraca się w prawo albo w lewo, niekiedy skręca wstecz, to znowu pędzi, jak strzała, skalistym korytarzem, z którego, zdaje się, niema wyjścia... Już... już... rozbija się kruchy statek o popielatą, kamienną ścianę, lecz w tej samej chwili wpada w niewidzialną szczelinę, z której niebawem wypływa, jak łabędź, na wodę spokojną i gładką, otoczoną pięknym krajobrazem.

Przez czterdzieści lat nasze życie narodowe wlokło się ciężko, niby wóz po bagnistej drodze, co chwila zapadając się i obryzgując pasażerów przemarznietym błotem. Zaś od kilku lat jesteśmy, jak podróżny między Czerwonym Klasztorem i Szczawnicą, niepewni—co robić?... Czy cieszyć się nowymi krajobrazami, czy podziwiać nagłe zwroty niosącego nas prądu, czy drżeć i kurczyć się wobec sytuacji, z których, zdaje się, niema wyjścia?

Ograniczenie praw wyborczych Polaków na Rusi i Litwie z jednej, a „wydzielenie Chełmszczyzny” z drugiej strony—oto dwie skały, między którymi przepływa w tej chwili nasze czółenka. Najbardziej zaś charakterystyczną cechą obecnego położenia, już nie tylko naszego, ale całej Rosyi, jest—oratorski popis p. Markowa 2-go, w czasie rozpraw nad etatem ministerium oświaty. „Niestychany” ten dokument powtórzę za *Kuryerem Warszawskim*, głosy bowiem podobne nieczęsto odzywały się w Europie.

„Przedstawiciele inorodców zapomnieli—uwiadamia świat p. Markow—że, jako zwyciężeni, są w rękach zwycięzców. Państwa tak potężne, jak Rosya, oznaczają panowanie narodowości silniejszej nad słabszą, przewagę męstwa i śmiałości nad usposobieniem pokojowym, tchórzostwem, a przedewszystkiem nad rozmazanym humanizmem. Chcemy zatem, ażeby w szkołach rosyjskich przestali uprawiać wyłącznie uczucia humanizmu, i sądzimy, że szkoła rosyjska powinna wychowywać swych uczniów w duchu odwagi żołnierskiej i poszanowania dla wojskowości. Inteligencyę należy wypędzać ze szkoły, ażeby nie wpływała na zniweczenie ducha wojowniczego. Kult tchórzliwego brzucha powinien być zastąpiony w szkole przez duch bojowy”.

W tem miejscu miałoby się ochotę zapytać mówcy: panie szanowny, czy ta—za przeproszeniem—szkoła, z której wyszło tylu dynamiczarzy, brauningistów i zrozpaczonych rewolucjonistów, czy ta szkoła szczepiła „ducha bojowego”, czyli też „uczucia humanizmu”? O ile sobie przypominam, szanowny pan nie był z niej zadowolony, może dlatego, że „duch bojowy”, pielęgnowano tam na zebraniach prywatnych. Lecz czy sądzi pan, że, gdy publicznie, eks-katedra, zaczniemy wychwalać przewagę sztuki mordowania nad „uczuciami humanizmu” i nad „inteligencyą”,

czy sądzi pan, że następstwa będą przyjemniejsze od tych niehumanistycznych objawów, na jakie mieliśmy nieszczęście patrzeć tak niedawno?...

Znani zapewne p. Markowowi, przynajmniej z reputacyi, Japończycy, którzy, jak o tem przekonało doświadczenie, nie celują „tchórzostwem”, o ile wiem, starali się jak najbardziej, nie tylko w szkołach, ale nawet w wojsku, propagować „kult inteligencyi i humanizmu”, dzięki czemu żołnierze ich odznaczyli się niepospolitą samodzielnością umysłową, a także i szlachetnem postępowaniem z nieprzyjaciółmi. Żaden jeńiec u nich nie był znieważany, bity, a choćby tylko zaniedbany; owszem, zarówno korespondenci europejskich gazet, jak i sami Rosyanie, odzywali się z szacunkiem o rycerskości, „inteligencyi” i „humanizmie” żołnierzy japońskich, podziwiając jednocześnie ich „ducha bojowego”, a nawet „bohaterstwo”.

Recepta więc p. Markowa, o ile dotyczy wychowania szkolnego, jest wręcz fałszywa, szkodliwa i niebezpieczna dla jego własnej ojczyzny. Szanowny apostoł bojowości i zwyciężkości wprost odwraca uwagę swego narodu od rzeczy pierwszorzędnych, a skierowuje ją na drugorzędne, wprowadza swoich rodaków w błąd, co, szczególnie ze względu na ciężkie dziś położenie Rosyi, jest grzechem niedopuszczalnym, grzechem, wołającym o pomstę do nieba.

Wiadomo, że Amerykanie i Anglicy w szkołach swoich kładą ogromny nacisk na „uczucia humanizmu” i rozwój „inteligencyi”, co bynajmniej nie przeszkadza narodom tym, że, w razie potrzeby, mają doskonałych żołnierzy. Powtarzam jeszcze raz, że i w szkołach japońskich mówi się nie tylko o „duchu bojowym”, lecz i o mnóstwie innych rzeczy. A o jakich?... odpowiada na to p. Emile Gautier w jednym z jednym z dawniejszych numerów gazety *Le Journal*:

„Mówią—pisze p. Gautier—że w czasie wojny mandżurskiej każdy Japończyk, od marszałka do ostatniego piechura, miał w swoim ręku szczoteczki do zębów. Złośliwe języki dodają, że, gdy pewien kozak znalazł po bitwie sporą liczbę tych niezwykłych przedmiotów, zebrał je i—odesłał do Petersburga, podejrzewając, że mogą to być jakieś niezbrane środki zniszczenia. Nie posuniemy dykteryjki aż do twierdzenia, że szczoteczki do zębów ułatwiły Japończykom zwycięstwo pod Mukdenem; w każdym razie są one symbolem. Ten bowiem drobny szczegół czyliż nie świadczy o wyrafinowanej dbałości o higienę, co niezawodnie miało wpływ na ostateczny rezultat wojny”.

Oto jak piszą Francuzi, niewątpliwi przyjaciele Rosyan; ale p. Markow żartuje z podobnych drobiazgów. Na co jemu szczoteczki. Jemu wystarcza „duch bojowy” i pogarda dla „humanizmu”, tudzież „inteligencyi”. Piękny nauczyciel swego narodu!..

Jest to dopiero cząstka fałszów antyludzkich, anty-państwowych i anty-społecznych, jakie w swej „oświatowej” mowie zdążył wyśpiewać p. Markow. Wskażemy i inne jej strony, ażeby czytelnicy przekonali się, jak niebezpieczną rzeczą dla mówców jest ślepa złość, która dla przyjemności znieważenia przeciwnika gotowa wyrzec się nawet rozsądku i faktów powszechnie znanych.

„Inorodcy zapominają, że, jako zwyciężeni, są w rękach zwycięzców”—woła p. Markow; zwycięstwo zaś—według apostoła antyhumanizmu—oznacza „przewagę męstwa i śmiałości nad tchórzostwem”. Z tego widzimy, że

p. Markowowi nie wystarcza „zwyciężyć”, on jeszcze musi plunąć przed siebie, choć nie wie, na kogo padnie ślina!

„Przewaga męstwa nad tchórzostwem!” Piękną mowę pogrzebową wypowiedział p. Markow nad grobami dziesiątków tysięcy rosyjskich wojowników, już nie wspominając o „inorodcach”, którzy zwyciężeni ginęli przy rzece Jalu, w porcie Artura, pod Laojanem i Mukdenem; pięknie uczcił weteranów, którzy bez rąk, bez nóg, z wypalonemi oczyma wrócili do swych rodzin. I to ten sam p. Markow, o którym *Ruskoje Słowo* mówi, że nie wyrzekł się swojej 2,500 rublowej pensyi w kurskiem ziemstwie gubernialnem, choć nic tam nie robi, że nie wyrachował się ze 135,000 rubli, wziętych na zwalczanie „kramoły”, że nie zapisał w księgach 10.800 rubli wydatków na jakiś *Wiestnik Kurskawo Ziemstwa* i t. p. Ciężko raniona ojczyzna miałaby chyba prawo żądać od tak twardego sędziego i patryoty, jeżeli nie ofiar osobistych i majątkowych, to przynajmniej ażeby on sam jej nie obdzierał.

Między fantazyami dzienników rosyjskich ze szkoły p. Markowa nieradko odzywała się i taka, że—Rosyę mogą współcześnie najeżdżać Niemcy, Austriacy i Japończycy, co naturalnie skończyłoby się wielką przegraną i zrujnowaniem państwa. W tym, zresztą mało prawdopodobnym wypadku (dzięki przymierzowi z Anglią i Francją) niejeden „prawdziwy Rosyanin” dostałby się pod władzę Niemców czy Japończyków. Jakich zaś doznałby uczuć, gdyby mu niemiecki lub japoński Markow wydekłmował: „Zapominają inorodcy, że, jako zwyciężeni, są w rękach zwycięzców”... Zwycięstwo zaś oznacza „przewagę męstwa nad tchórzostwem!” Obraziliby się ci słuchacze, zmartwiliby się?... Nie sądzę. Pomyśleliby tylko, że ów pyszny Niemiec, czy Japończyk, jest bardzo słabym myślicielem, ale za to dostatecznie lichym charakterem. I może ubolewałoby nad niemieckim czy japońskim parlamentem, że tego rodzaju osobistości musi tolerować w swem kole.

Albowiem zwycięstwa odnoszą się na bardzo rozmaitych polach. Są zwycięstwa ekonomiczne, są ideowe, są najjaskrawsze i najgłośniejsze, ale zarazem najniebezpieczniejsze—militarne. Joanna d'Arc naprzykład była zwyciężona, ba! nawet spalona przez Anglików, i to za pozwoleniem francuskiego biskupa, który, co prawda, nazywał się Pierre Cauchon. I co z tego?... Dziś, po kilkuset latach, przed tą samą Joanną zginają kolana ze szczerą a głęboką czcią nie tylko Anglicy, ale nawet biskupi. Oto przykład zwycięstwa ideowego, jakich setki pamięta historia. Bywają dalej zwycięstwa ekonomiczne, bardzo poważne w skutkach. W taki sposób zwyciężyła Anglia Hiszpanię, Holandję, Wenecję; w taki sposób zachodnia Europa wciąż zwycięża wschodnią, zalewając ją swoimi wyrobami, wynalazkami, pieniędzmi, kolonistami, a nawet rządami.

Ale zwycięstwa wojenne, czy jest coś mniej trwałego od nich!... Rosya przez parę wieków była pod uciskiem tatarskim i—cóż z tego? dziś ona odpłaca im z procentami. Polska zwyciężyła Niemców pod Grunwaldem, a—co z tego?... Zwyciężeni są dziś jej panami, a niegdyś sprzymierzeńcy: Litwini i Rusini—jej wrogami, w dodatku, jak niektórzy Rusini, porozumiewającymi się z Prusami... Jakąż wielką w swoim czasie katastrofą było napoleońskie zwycięstwo pod Jeną... Ale mądrzy i cierpliwi Prusacy przetrzymali to; uczyli się, pracowali w ciszy i, w kilkadziesiąt lat później,

zdobyli Sedan, który także nie jest ostatnim słowem historii.

Zwycięstwa zatem orężne są bardzo kruche, i trzeba dziwnej lekkomyślności, ażeby widzieć w nich coś więcej nad pojedynczą scenę dziejowego dramatu. Przecież koło fortuny ciągle kogoś wznosi, a kogoś poniża, ciągle toczy się, i trzeba, zaiste! być bardzo głuchym, ażeby nie słyszeć łoskotu jego trybów, bardzo ślepym, ażeby nie widzieć ruchu jego wskazówek.

„Zwycięstwo oznacza panowanie narodowości silniejszej nad słabszą!” zapewnia p. Markow—i w jakiejże to chwili dla państwa rosyjskiego?...

P. Stanisław Rotwand, członek Rady Państwa, złożył rządowi memoriał o ekonomicznym położeniu Rosyi. Z pracy tej, cytowanej przez *Riecz*, okazuje się, że na 150 milionów ludności tylko 2 i pół miliona ma dochód nie mniejszy od 1,000 rubli rocznie, pozostałe zaś 147 i pół miliona mieszkańców posiadają ledwie po 50 rubli rocznie przecięciowo na osobę. Liczba ta stanie się plastyczniejszą, gdy przypomnimy sobie, że dług Rosyi już w roku 1907 stanowił 9 miliardów, czyli 60 rubli na mieszkańca, i że dochody innych ludów wynoszą: w Stanach Zjednoczonych 374 ruble, w Anglii—273 ruble, we Francji—233, w Niemczech—184, a nawet w państewkach bałkańskich po 101 rubli rocznie na osobę.

Czyli, obok niezmiernego zadłużenia, ludność rosyjska jest 6 razy uboższa, a więc słabsza od Amerykanów, 3 razy uboższa od Niemców, a nawet przeszło półtora raza uboższa, czyli słabsza od państewek bałkańskich. I domagając się teraz, p. Markow, „wypędzenia inteligencji z rosyjskiej szkoły”, żądaj walki z „humanizmem” i „usposobieniem pokojowym”.

Nie posądzam p. Markowa o mały patriotyzm, o brak przywiązania do Rosyi, która go tak hojnie opłaca. Trudno jednak powstrzymać się od uwagi, że „polityk” ten, biorąc się do kierownictwa losami narodu, mocno przekroczył granicę swego przygotowania i zdolności.

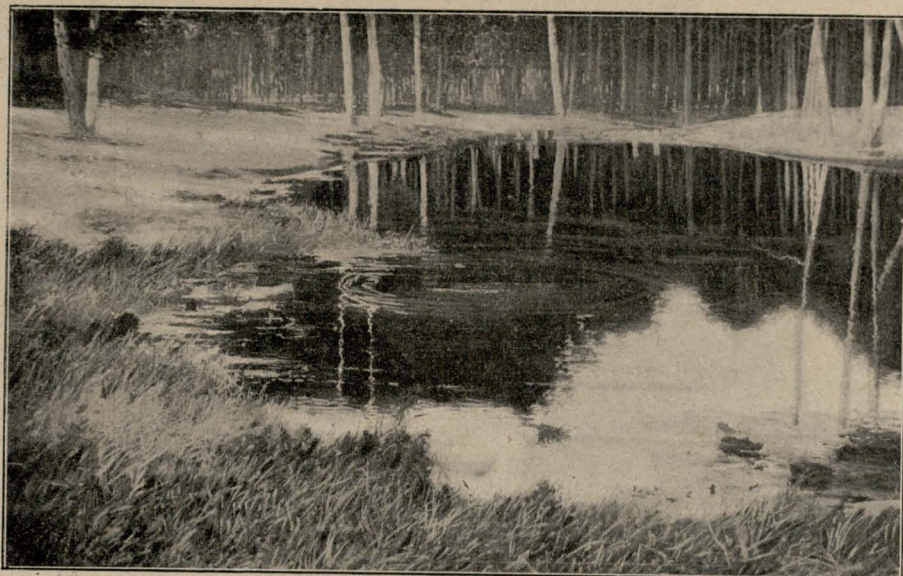
Nowy poseł warszawski.

Kim jest Władysław Jabłonowski, jako krytyk, jakie miejsce zajmuje w literaturze polskiej, wiedzą już czytelnicy nasi z portretu literackiego p. Henryka Gallego, zamieszczonego niedawno w *Tygodniku*. Pomówmy więc dziś tylko o polityku.

Jabłonowski nie wysuwał się dotąd nigdy na plan pierwszy. Przecież od lat wielu stoi już przy sztandarze narodowym. Za czasów cięższych odpokutował to więzieniem i wygnaniem.

Ogniskiem budzącego się ruchu narodowego był wówczas *Głos*. Od powrotu z zagranicy, po studyach w uniwersytecie genewskim i lipskim, Jabłonowski pracuje w tem piśmie obok nieodżałowanych zmarłych, J. K. Potockiego (Maryana Bohusza) i J. L. Popławskiego.

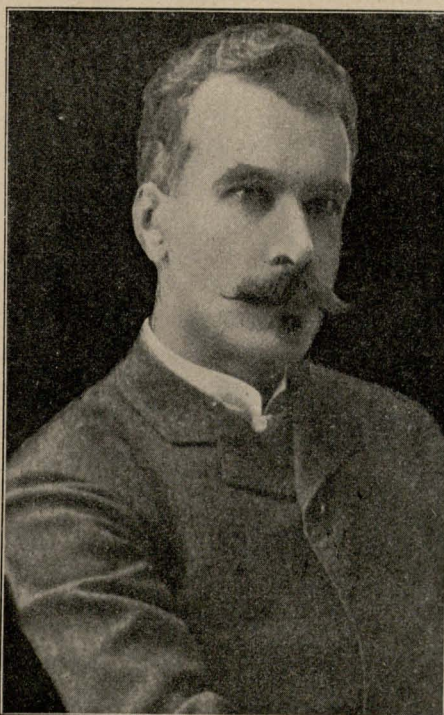
Kiedy z ruchu tego powstaje stronnictwo demokratyczno-narodowe, Jabłonowski zajmuje w nim jedno z przedniejszych, jakkolwiek nie zewnętrznych stanowisk. Służy mu zawsze dobrą radą, uczciwą, zacną myślą.



LAS SOSNOWY NAD WODĄ

M. WYWIÓRSKI.

Koło wyborców Warszawy składa się w przeważnej ilości z członków tego właśnie stronnictwa. Więc, kiedy Dmowski usunął się i nie chciał ponownego przyjęcia wyborów, kiedy za tym przykładem poszedł Nowodworski, kiedy mecenas Pełowski ze względu na stan zdrowia nie mógł, niestety, przyjąć ofiarowanego mu mandatu, oczy długoletnich współtowarzyszy pracy zwróciły się na Jabłonowskiego.



WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

Kandydata zalecał nieskazitelny, niezłomny charakter, rozległe wykształcenie, wierna wytrwałość w służbie publicznej.

Został wybrany. Postłowi warszawskiemu obca jest płytko ambicja i próżność. Wysokiej godności nie przyjął dla czczego tytułu, uczynił to po długich wahaniach, przez poświęcenie, ulegając naciskowi kolegów i przyjaciół najbliższych.

Więc nie puste powinszowania na nową ciężką służbę publiczną mu ślemy. Wiemy, że sumienność, jaką się w całym swym życiu i w swej działalności literackiej kierował, poczucie odpowiedzialności, chęć gorąca zrobienia najlepszych rzeczy dla kraju, w zestawieniu z trudnymi warunkami, tak często skazującymi dziś postłów naszych na bierność, będzie dla niego źródłem ciężkich wewnętrznych rozterek. Będzie zmuszony opuścić narazie umiłowane pole pracy literackiej, konieczność każe mu rzucić się w wir walki i obrony niezbędnej, choć pozbawionej bliższych widoków

powodzenia. Na ciernistym szlaku znajdzie jedną tylko pociechę, w poczuciu spełnionego obowiązku. Życzyć mu można jedynie owocnej pracy dla dobra kraju i wyrazić zupełną ufność, że położonego w nim zaufania nie zdradzi.

W chwili, kiedy Królestwu zagraża oderwanie Rusi Chełmskiej, stolica kraju obdarza swym mandatem elekta, który z Rusi ród swój wieździe, synowca najznakomitszego tej Rusi historyka. Jest tedy w tym wyborze także symbol nierozdzielnej duchowej łączności, jedności ziem, historycznie w dawnej Rzeczypospolitej zespolonych.

L. W.

LAS GADA..

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Stroili mi duszę:
Brzożki, polne grusze,
Grały na niej smykiem
Wierzy nad strumykiem,
Przytwarzały wtorem
Stare sosny borem!
Cóż ja winien? że to gram,
Co hen na dnie w duszy mam!

Wiecie, co to dumanie?

A wiecie, gdzie dumać najlepiej?

Gdyby jaki tyran duszy ludzkiej chciał wywać z serc i myśli wszystkie marzenie, wszystką tęsknicę, gdyby chciał wzbronić wszelkiego rojenia, wszelkiej zadumy, musiałyby przedewszystkiem wyciąć, wytrzebić, wykarczować wszystkie drzewa, od wierzy nadrzecznej do białowieskiej barci!

I dopiero byłoby w duszach i na świecie głucho, bardziej głucho, niż bez ptaszek śpiewania, bardziej smutno, niż bez słońca, gorzej ciemnicy! i tak strasznie ciężko, jak kiedy się ostatnią łzę wypłaczę! Byłoby jakby wieczyste milczenie.

Bo nic w przyrodzie tak z człowiekiem i do człowieka w samotności, w trosce, w bólu zagadać nie potrafi, jak pierwsza lepsza drzewina, jak pierwszy borek, nic tak nie zagra do duszy, do serca, jak te harfy zielone!

A jeszcze u nas, na naszej ziemi!

Hej! hej! posłuchać jeno tej mowy, tego grania... Co drzewko, ma swoją nutę! swój ton! swoje zawodzenie! swą śpiewkę, zawodzenie.

Od onej lipy czarnoleskiej poczynając, od onego dębu-gaduły, co kozackiemu wieszczowi śpiewał, do grusz polnych, co „za stodołą, za Maćkową rozsiadły się miedzą płową”, ile to gadek, baśni, powiadań!

A sosny z „mentalikiem”? a wierzba, „w której dziwna tkwi siła!” a brzożki! a choćby „chłop z pradziada”, jałowiec! A coż dopiero las, bór, co Adamowe wieszczby kołysał? Hej!

Powiał w młodym maju wiaterek od pola, uderzył o ciemną ścianę drzew borowych, rozbudził, niby pogłowie ludzkie na procesyi...

Las gada... A każde drzewo po swojemu, niby inaczej, a wszystkie razem zajednako.

I leci muzyka do serc ludzkich, jeno słuchać duszą! Każde drzewo mówi, każde inaczej, a wszystkie razem zajednako. Którego najmiej posłuchać—niewiadomo.

Na skraju lasu sosna staruszka. Obrazik Częstochowskiej na niej niby relikwiarz na piersiach matrony. I sama, jak, matrona, spokojna, dumna, wiatr nią nie robi, jeno czasem konary szerzej rozchyli; jakby chciała objąć i przytulić wszystko dokola.

Zda się, nie mówi nic, ale przyłóż ucho do pnia starego... Gra coś, dziwnie gra, jakby z duszy, jakby pod popękaną korą serce biło.

Gra... gdzie nie słuchać, gra... wszędzie. Nie jedną gałązką, nie odziemkiem, nie igliwiem tylko. Cała sosna—jak harfa. Pień, odzimek, konary,

szyszki, igliwie, nawet te krople żywicy, co, niby łyzy, po pomarszczonej korze spływają, wszystko wraz jednym głosem woła. To smutnie, żałośnie, to znów jakby akordem wesela. A sosna stoi, nieporuszona, dumna— wielka pani! Wszystko w niej wielkie: i boleść, i radość, i smutki, i nadzieje. I wszystko w duszy na wewnątrz, nie dla obcego oka i ucha.

Wszystko w sobie, i dla siebie i swoich.

Obok brzołka. Rozpuściła warkocze, „niby wieśniaczka, niby matka, płacząca syna”... Bije od niej żałość straszna, ale już nie tak potężna spokojem.

Są nawet wesołe, bardzo wesołe brzołki, nikiel tanecznic! Tylko im zagrać od ucha! to, „nikiel dziewczka, świat jej karczma, wiaterek ruszył, zawodzi, niby wdowa po stracie pierwszego, ale już jej się za drugim cni, i radaby płakać nie po jednym tylko. Był się trafił i *secundo*, i *tertio voto*: zapłaczcie.

U takiej i o łyzy, i o wesele łatwo, podobnie jak u osiki. I w jej poszumie żałość jest, i smutek, ale jakby na pokaz. Trzęsie się to każdym listkiem zosobna, byle wiaterek ruszył, zawodzi, niby wdowa po stracie pierwszego, ale już jej się za drugim cni, i radaby płakać nie po jednym tylko. Był się trafił i *secundo*, i *tertio voto*: zapłaczcie.

A oto świerk-orator. Wyrósł nad tłum słuchaczy i organ donośny ma i gest zamazysty. Powiał wiatr. On machnął zieloną kicią, niby ręką, drugą wziął się pod boki. Gada i gada... a wywija i wywija... Czasem z czuba i zielonej czapki uchylił i gada, gada mądrze o zieloności, o nadziei.

Niejedno pamięta, bo już ze sto lat na świat ten ze swego uroczyska patrzy, to go posłuchać warto. Nagle i on urwał oracyę. Zamilkł, bo tam, od puszczy głębokiej, powiało jeszcze silniej, doleciał jakby rapsod rycerski z bardonu wieszczca... To dąb zagadał.

I mówił długo, słuchany w ciszy, jak dziad przez prawniki. Mówił, choć wichur wył coraz silniej... Mówił o latach przeżytych, przetrwanych.

I słuchały go w zamodleniu wszystkie drzewa, od płoczej osiki do wyniosłej sosny, od krępego grabczaka do wiotkiej wierzy nad strugą.

A tam na pustoci, na trzebieży, gdzie wichur dął zwałami piasku i kurzawą, stanęły chłopcy-jałowce zwartym szeregiem i zasłaniały zielną pierś las gadający, aby zły wiatr nie zgłuszył rapsodu. Taka im już chłopska dola...

Warto posłuchać czasem tego drzew gadań. Nastroi duszę niezgorzej dobrego słowa do brych ludzi.

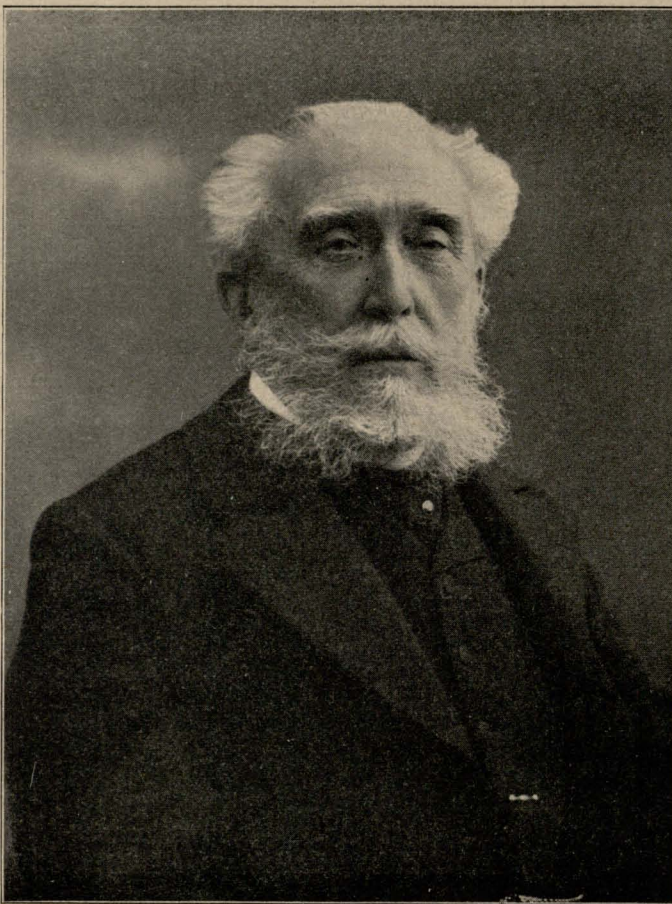
KAZ. LASKOWSKI.

SIENKIEWICZ

O POLITYCE PRUSKIEJ.

Poniżej zamieszczone słowa autora Trylogii nigdzie dotychczas nie były drukowane. W tłumaczeniu francuskim stanowią one wstęp do tomu, obejmującego odpowiedź na „Ankiety Sienkiewicza”, przeprowadzoną przez „Polskie Biuro prasowe w Paryżu”.

Rząd pruski będzie naprózno usiłował zlekceważyć zawarte w tej książce głosy, gdyż w istocie rzeczy są one dla niego dotkliwą, a co więcej, haniebną klęską. Opinia, wyrażona przez ludzi, zajmujących tak wysokie intelektualne stanowiska, jest zarazem pierwszorzędnym dokumentem historycznym, stwierdzającym, że wytworzyły się w Europie dwa przeciwne obozy. W jednym z nich znalazły się najwyższe umysły, najgorętsze serca, najbardziej humanitarne idee i najzaciejsze dążenia do prawdy, dobra, sprawiedliwości i postępu — w drugim: Prusy ze swoim kanclerzem, swym znieprawionym sejmem i swoją ustawą o wyłączeniu. Jest to fakt, którego nic już nie zmieni. Ale również faktem jest, że rząd, który do takiego rozdziału dopuścił, który postępował w ten sposób, że najprostsze za-



STANISŁAW hr. TARNOWSKI, profesor uniwersytetu jagiellońskiego, b. prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, w dniu 25 b. m. uczczony wspaniałym obchodem jubileuszowym, z powodu opuszczenia katedry, którą przez lat 40 zajmował. Wrażenia i ilustracje z tej podniosłej uroczystości damy w najbliższym numerze.

sady moralności musiały stanąć w rzędzie jego przeciwników, popełnił nie tylko zbrodnię, lecz i niezmierny błąd polityczny, przez który wyrządził szkodę ludzkości i krzywdę własnemu narodowi. Obecnie nie jest to już proces między rządową pruską ideą a kilku milionami Polaków, ale między tą ideą a obrażonym sumieniem całej ludzkości. Głosy najszlachetniejszych przedstawicieli wszystkich narodów wydały wyrok w pierwszej instancji—w dalszych zawyrokuje przyszłość.

Henryk Sienkiewicz.

BOLESŁAW KARPIŃSKI:

„PROLOG”

Do „Dworu królewicza Władysława”

J. SZUJSKIEGO.

Jednym z najpodnioslejszych momentów uroczystości jubileuszowych ku czci Stanisława Tarnowskiego w dniu 25 b. m. było przedstawienie w Teatrze Miejskim, na którym odegrano „Dwór królewicza Władysława” Józefa Szujskiego, poprzedzony prologiem dramatycznym. Prolog ten, napisany przez p. Bolesława Karpińskiego, otrzymał pierwszą nagrodę na specjalnym konkursie Akademickiego Koła Artystycznego Miłośników Dramatu Klasycznego i Koła Sławistów Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

I przyznać należy, że wybór uczyniono trafny: utwór bowiem p. Karpińskiego odznacza się zarówno oryginalnym pomysłem, jak i treścią podniosłą i artystyczną formą.

U węgłowa łoża królewskiego, na którym spoczywa, snem głębokim ujęty, Zygmunt III, ojciec Władysława królewicza, dwie postacie alegoryczne, Zgoda i Niezgoda, wiodą spór o walczących pod Wiazmą rycerzy; na ścianach łożnicy, jaskrawym kilimem okrytych, siedzi Błazen i gra na muzycznym narzędziu. Niezgoda w fałdach swej brudnej sukni ukrywa Zdradę, potworka o dużej głowie, szpetnej twarzy i z garbem.

Która z tych potęg wiekuiących zwycięży? która duszą polską owdładnie? na jaką drogę woczy się, w tej chwili przełomowej, rydwan Rzeczypospolitej?

Już, zda się, Niezgoda laur zwycięstwa na skronie, jaśniejsze tryumfem, kładnie, już szepce do ucha śpiącemu Majestatowi rozpaczne słowa...

Wtem—daje się słyszeć głos dzwonu, i oto... I tu dajemy głos autorowi, który piękny swój utwór kończy taką sceną podniosłą.

NIEZGODA.

Idź i piej! Ja zbiorę plon.

ZGODA.

Zgody dzwon—już słyszę—dzwoni...

Pojednania wszędzie słońce—

Już ich widzę—
Biegną gońce...
Już radością twarz się płoni—
A za nimi sława płynie...
Nadaremny, siostró, trud—
Nie wyginie
Taki lud,
Póki w sercu nosi Boga,
Nadaremna wszelka trwoga—
Oto bije dzwon.

(Pauza).

Ja im Matkę ich pokażę—
Matkę biedną—umęczoną—
Z mieczem w sercu—
Załawioną—
Z ciernistą—krwawą koroną.

Ja świętością ich przerażę
I pokażę im ołtarze—
Kędy biegli cali w bieli,
Z duszą czystą—jak anieli—
I zwycięstwo w rękę mam.

Ja im Matkę ich pokażę —
Umęczoną—
Załawioną—
Tam—u Wiazmy bram.

(Dzwon bije coraz głośniej).

Wszystkie sieci, rozpostarte
Tam przez ciebie,
Przeciąć muszę,
Wszystkie hydry schwytam—zduszę—
I ocalę ich—a z nimi
I narodu biedną duszę.

Ja im Matkę ich pokażę,
Matkę biedną—umęczoną,
Z mieczem w sercu—załawioną—
Z ciernistą—krwawą koroną...

(Podczas tych słów Niezgoda ze Zdradą znikają powoli nieznanie).

Zwycięstwo gram!
Widzę, jak od Wiazmy bram
Śpiesznie jakiś człowiek bieży...
W gruzach cała twierdza leży—
Zwycięstwo gram!
Zwycięstwo gram!

(Król się porusza, pomatu wstaje, siada na łożu i mówi).

KRÓL.

Dziwny—straszny miałem sen...

BŁAZEN.

Powiedz, królu—coć się sniło?
Czy król co z niego pamięta?

ZGODA (do króla).

Zwyciężyłam. Sprawa święta!

(Na te słowa król wstaje i mówi, jakoby zatopiony w modlitwie).

KRÓL.

...A więc zgoda. Wspólny trud,
Jedno serce—jeden lud—
Pogrzebiona leży waśń...

BŁAZEN.

Opowiem ci królu baśń.
Słuchaj jeno...

Kurtyna.



Bolesław Karpiński.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Rozłokowywanie się teatrów naszych po „letni-
skach” swoich. — Dogasanie sezonu operowego
i operetkowego. — Gościnne występy Maryi Gay. —
Pierwsza premiera w Teatrze Nowym. — Rozpoczę-
cie się koncertów w Dolinie Szwajcarskiej. — Wy-
stawienie „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Ma-
łym. — P. Mielewski w roli Gustawa-Konrada. —
Nowa czteroaktowa sztuka St. Kozłowskiego,
„Ewa Frank”.

Letnia doroczna przeprowadzka teatrów na-
szych już odbyta. Repertuar dramatyczny Rozmai-
tości zakwitł już w ogrodzie Saskim „Ewą Frank”
Kozłowskiego; krotchwila, osiadłszy w Teatrze
Nowym na Królewskiej, zdążyła już wystąpić z pre-
mierą bardzo udaną, z „Małżeństwem aktorki”
Bissona; Gawalewicz z teatrem swoim objął już
w posiadanie opustoszałą i zamilkłą wielką salę
Filharmonii i wystawił już tam „Dziady” Mickie-
wiczowskie w układzie Wyspiańskiego i przysto-
sowaniu do warunków miejscowych przez cenzurę
warszawską; w Dolinie Szwajcarskiej rozpoczęły się
koncerty orkiestry czeskiej Filharmonii z Pragi;
dośpiewują już tylko ostatki zimowego repertuaru
opera w Teatrze Wielkim, oraz operetka w Tea-
trze Nowości.

W przybytku opery mignęła tymi dniami prze-
lotną gością Marya Gay, najznakomitsza inter-
pretatorka bizetowskiej „Carmen”. Rok temu ad-
mirowaliśmy ją w Warszawie, potwierdzając opi-
nię zagranicy, że jest to Carmen nad Carmeny,
jako przeświatne połączenie realistycznej gry
aktorskiej z niewyczerpaną pomysłowością, oraz
nie byle jaką sprawnością techniczną doskonałego
głosu.

Ale to—błędna gwiazda! Światło stałe, ła-
godne, lecz nader miłe dają obecnie operze naszej
pp. Mokrzycka i Lachowska, gdyż, niestety, ani
p. Korolewicz-Waydowej, ani p. Dygasa do sta-
łych, a jakże niepowszednich! sił naszych opero-
wych nawet nadziei nie mamy zaliczyć kiedy. Za
kosztowne to klejnoty—dla naszej kapoty.

P. Kawecka pożegnała się—i wyjechała na
dłuższy urlop, unosząc ze sobą nie przesycającą nas
nigdy wesołość wdówki i czar walca. Słychać, że
p. Kawecka spędzi swój urlop na śpiewaniu
w Wilnie w operetce rosyjskiej. *De gustibus*
sprzeczeki niema; są tylko, oczywiście—różne gusty.

Wszelako, nie o
tem dziś. Nawet
nie o „Stabat Ma-
ter” Rossiniego,
wykonanem kilka
dni temu z wielką
okazałością i arty-
zmem, pod batutą
p. Fitelberga, w
Teatrze Wielkim.
Cudowne to arcy-
dzieło orkiestrowo-
wokalne włoskiej
muzyki religijnej
do nieśmiertelnych
strof mnicha -
pokutnika z
Todi, do pierwsze-
go jakby błysku
gotyku poezji po-

przez chłodną scholastykę średniowiecza...

Rossini! proszę bardzo, nie brzdąć mi i daj
wpierw powiedzieć, że wystawiono tu u nas „Dzia-
dy” z nakładem wielkiej pracy, umiejętności i go-
rącego pietyzmu, lecz, niestety, jedynie przy po-
mocy sił i środków, którymi rozporządza—Teatr
Mały. Czy wizji „Dziadów”, którą od dziecka
mamy w duszy, nie rozproszyło widowisko scenicz-
ne? Sądzę, że chwilami widowisko sprawiało za-
wód i urazę wyobraźni wrażliwszej na niedelikat-
ne rozpraszenie tego, co wypiastrowała sama, lecz
sądzę również, że chwilami żywe słowo w połą-

czeniu z aparatem scenicznym działało na widzów
i słuchaczy silniej, niż czytany poemat, potęgując
jego siłę, wywołując na sali nastroj niepowszedni.

Ryzykowna impreza... *pokazywać* nam w kształ-
tach realnych widmo szalejącego Gustawa! Lub
Konrada w ekstazie! A choćby tylko nieśmiertel-
ne kapliczne nocne wywoływania Guślarza i mary
symboliczne zagrobne, przemawiające do nas gło-
sem ludzkim, nie zaś wierszem poety... Nie obyć
się imprezie takiej bez sukursu samego Mickiewi-
cza, któremu starczy potęgi
dla narzucenia wrażeń i na-
stroju nawet — karnawałującej
właśnie na zielono, majowej
publiczności warszawskiej.

P. Mielewski, wybitny
artysta dramatyczny, odtwarza
Gustawa-Konrada nie tylko z
talentem, lecz i z głębokim
wmyśleniem się w tę „rolę”,
która jest czemś więcej, niż
popisem techniki aktorskiej.
Gustaw p. Mielewskiego bard-
ziej filozofuje, niż cierpi i ko-
cha; zbyt realnym jest rezonerem,
a za mało patetyzującym upiorem.
Lecz też i zadanie olbrzymie,
a w postaci tyle treści wewnętrznej,
że wolno pojmować ją i tłumaczyć roz-
maicie z uwzględnieniem szerszym
tych lub owych odcieni.

Wystawienie „Dziadów”
zapisze w dziejach Teatru Ga-
walewicza chlubną i piękną
kartę. Obyż tylko publiczność
warszawska teatralna, pozują-
ca na „kwiat inteligencji”
miejscowej, nie zblamowała
się raz jeszcze—obojętnością
wobec „Dziadów”. Przykład
piękny dało nam, niedaleko
szukając, Wilno, które wysta-
wione tam „Dziady” uhonoro-
wało jak nie można przykład-
niej.

Co zaś do „Ewy Frank”
p. Kozłowskiego, to sprawi-
dliwość wyznać każe, że sztuka
ta bardzo efektowna nie
należy do najlepszych utworów
scenicznych autora „Turnieju”,
„Reduty”, „Kazimierza i Esterki”,
„Hrabiny Cosel” etc. Zarówno
niepowszednia indywidualność
Franka, jak z bajecznością gra-
niczący przebieg jego życia,
a zwłaszcza wysoce charakterystyczna
geneza frankizmu, sam akt
niemalże społecznej doniosłości
wytworzenia się t. zw. frankistów—
wszystko to odsunął p. Kozłowski
na stronę i spożytkował dla sztuki
swojej tylko dekoracyjność „dworu”
w Offenbachu, oraz stronę anegdotycz-
no-legendową ostatniego okresu
życia Franka.

Melodramatyczno - drastyczna fabuła
na temat rywalizacji Ewy Frank z
Teklą Łabęcką o Jerzego Lubomir-
skiego stanowi tylko jakby pretekst
do wprowadzenia nas na „dwór”
iście monarszy Franka w Offenbachu
i do zainteresowania nas trojgiem
dziwów, które się tam działy. Ani
słowa, zapoznajemy się wcale
szczegółowo z praktykami oszałamiają-
cej szarlataneryi, która zgato-
wała Frankowi dołę o wiele wspanialszą
i przyjemniejszą, niż wszystkie
sukcesy kuglarskie Mesmera,
Cagliostro, hr. de Saint Germain.
Po widoku tem, jednak, obliczo-
nem na mało wybredne wymagania,
pozostaje czczość podnieconego
tylko głodu innych wrażeń, oraz
pożywniejszej strawy umysłowej
i duchowej.

W dodatku szlafrokowy Frank,
od którego trąci bufonadą i rysami
à la Geldhab, aczkolwiek ratowany
znakomicie przez majstra nielada,
p. Frenkla, córka jego Ewa, przyszła
„głowa” sekty, naiwno-rozpustna,
a bez cienia demonizmu lub oryginal-
niejszej indywidualności, któreby
usprawiedliwiały jej rolę we frankizmie,
wreszcie historyczny Jerzy Lubomirski,
w ślamazarności swojej zgola nie-
prawdopodobny—osłabiają wiarę w kronikarską

ściłość sztuki, nadając jej zlekka pozory
maskardy, tylko ucieśniej, nie zaś pobud-
zającej do zadumy nad takim dokumen-
tem epoki.

Szkoda, że p. Kozłowski zbyt nas
takim jedynie wysysaniem arcy-
niepowszedniego i bogatego tematu,
tworząc, zamiast pełnego obrazu
historycznego lub jaskrawego dramatu,
tylko wcale płytką anegdotę, chwytającą
się, jak deski zbawienia, efektywnych
scen zbiorowych, nazwisk historycz-
nych, niespodziewanych kostymów,
oraz lek-



Scena z „Ewy Frank”, sztuki St. Kozłowskiego.

kich aluzji do współczesnych akcesoryów
kwestyi żydowskiej.

Lecz pewność ręki wytrawnego pisarza
scenicznego nie zawiodła ani na chwilę
autora „Ewy Frank”. Zwłaszcza akt
pierwszy i drugi służąc mogą za wzór
umiejętnego i zręcznego aranżowania
scen i manipulowania figurami. Dzięki
temu nerwowi dramaturga, wybornej
reżyseryi i hojnej wystawie, „Ewa Frank”
może na scenie naszej zdobyć nawet
wcale trwałe powodzenie.

Nie wspominałem o p. Marcello-Palińskiej.
Nie tylko wspomnę, lecz podkreślę, że
talent jej raz jeszcze zajaśniał w „Ewie
Frank” w całej pełni, łącząc w bardzo
interesujący i estetyczny wizerunek:
powab niewieści z *sui generis* majestatycz-
nością i mocą akcentów.

CZ. J.

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

ZMIERZCH.

Jak ktoś, kto płakał długo,
Zasypia cicho dzień...
Ostatnią westchnął smugą
I odszedł w cień.

Spójrz na mnie: w mojej twarzy,
Ostatni promień gra;
To się na rzęsach waży
Ostatnia iza.



POMNIK CHOPINA (NAGRODA I)

WACŁAW SZYMANOWSKI

RZEŹBA PRZYSZŁOŚCI.

Niema czasu teraźniejszego — jest tylko przyszły i przeszły. Zaledwie napisałem te słowa, już przepłynęło nad nimi wiele sekund; zanim artykuł dostanie się do rąk czytelnika, przepłynie nad nim wiele godzin, dni, może tygodni i miesięcy — będzie on już należał do przeszłości. Zapomnienie o tej prawdzie bywa przyczyną najsmutniejszych nieporozumień i strasznej, krwawej ironii konieczności. Jesteśmy ciągle pod wpływem złudzeń, jak człowiek, który, z wielkiego mostu zapatrzony w nurty wezbranej rzeki, ma wrażenie, że fala przewala się pod nim na miejscu, a on z mostem mknie szybko gdzieś w dal nieznaną. Złudzenie to w odwrotnym sensie było przyczyną, że człowiek przez tysiące wieków uważał ziemię, na której stoi, za stałą, centralny punkt świata, kazał też około niej obracać się słońcu i gwiazd miryadom.

Złudzeniem takim w dziedzinie życia artystycznego ludzkości jest wszystko to, co się nazywa sztuką współczesną, sztuką nową—młodą sztuką.

E pur si muove!

Nie trzeba tu wołać za Newtonem: „Fizyko, wybaw nas od metafizyki”, gdyż wszystko to, co powiem, jest wynikiem postrzeżeń rzeczywistych, czystej obserwacji praktycznej.

Sztuka jest stara, jak ludzkość, i z nią razem przeżywała swoje dzieje. Jakże dziwni są wobec tego ludzie, ludzie nie raz o brodach oszroniałych, o czaszkach łąsych i poradlonych wiekiem czołach, kiedy, zebrawszy się pod sztandarem pierwszych lepszych haseł estetycznych, mówią o sobie: „My, młoda sztuka”. A mówią o tem z jakąś dziecinną wiarą w prawdę słów swoich. Jakże zabawni są starszankowie, którzy nie widzą, że



Pomnik Chopina (bez podium). Według projektu Zygmunta Otto, (zaszczytne odznaczenie).

przemija świeżość ich haseł, jak przemija świeżość lic młodzieńczych, a sztuka trwa ciągle w wiecznym, nieustającym ruchu.

Są oni, jak ów człowiek na moście, pod którym nurt życia toczy nieubłagane fale. Zapatrzony w gwałtowną, niepowstrzymaną ruchliwość żywiołu, łudzą się, że sami rwą w przestrzeń z żywiołową gwałtownością.

Najzabawniej jednak wyglądają rozmaici teoretycy, zasugerowani raz na zawsze jakąś modną ongi formułą. Olsnieli kiedyś we wczesnej młodości efektywnym hasłem, ślepną później zgoła na objawy otaczającego ich życia. Teoria estetyczna zasłania im oczy tak szczelnie, że nie przedzierają się przez nią promienie codzien nowych wschodów słońca. Żyjąc w ciemnościach hipnozy, idą przez świat, jak lunatycy, i powtarzają słowa, narzucone sobie w chwili uśpienia. Ciągłe jeszcze słyszymy namiętą obronę kierunków artystycznych, nad którymi twórcy oddawna przeszli do porządku dziennego, ciągle się opowiada legendy o męczeństwie wielkich za nowe idee bojowników, którzy nigdy z nikim nie wojowali i zgoła żadnej racy do dziejów martyrologii nie wytworzyli.

U nas specjaliści lunatycy tego rodzaju mają sen twardszy i dłużej trwający. Na Zachodzie budzą się nieco łatwiej. I tak naprzykład wielki Rodin, który tak długo hipnotyzował ludzkość swoją istotnie potężną indywidualnością, dziś już w imaginacji paryskich snobów i snobinetek ustąpił miejsca p. Maillot'owi. Rzeczywiście, młody, bo znany w Paryżu dopiero od roku 1895, Aristide Maillot jest dziś na ustach tych wszystkich, którzy szukają koniecznie „czegoś bezwzględnie nowego”. Nowość ta wyraża się w tem, że artysta, zresztą niezaprzeczenie rzeźbiarz bardzo utalentowany, po wzory do swych utworów sięgnął aż do sztuki asy-

ryjskiej, czy Chaldejskiej. Zerwał jakoby z tradycją oglądania się wiekiowego na tę nieznośną, opatrzoną rzeźbę grecką.

W każdym razie nowość ta jest tylko względną nowością.

Takie cofanie się stopniowo aż do prapoczątków sztuki jest zjawiskiem bardzo znanym i okropnie starym w jej historii. Powtarzało się ono w różnych epokach i prawdopodobnie powtarzać się będzie zawsze, wielokrotnie ludzkość, przesycona twórczością, sięgającą, zda się, najwyższych granic doskonałości w swym zakresie, zapraśnie czegoś nowego...

W tem właśnie stadium najwyższej doskonałości niewątpliwie jest obecnie rzeźba francuska. Jedną wizytą w Muzeum Luksemburskim w Paryżu może o tem przekonać najdowodniej. Jest tam wszystko w utworach takich niezrównanych rzeźbiarzy, jak Falguière, Frémiet, Carpeaux, Bartholomé, Dalou, Gerôme, Charpentier, Rodin i wielu, wielu innych, którzy stanęli w swej sztuce tak wysoko, że, zdaje się, dalej iść już niepodobna.

Na rzeźbie wogóle niewiele zaznaczył się ruch romantyczny, który tak wybitnie piętno odcisnął na malarstwie zeszłego wieku. Pozostaje ono ciągle pod wpływem klasycznego antyku. Jednakże we Francji tradycje Puget'a i Houdon'a odżywiają się stale, a nawet spotęgowały się ogromnie pierwiastki tego tworzywa narodowego w osobie Rude'a (1784—1855). Rzeźba francuska ma tedy tradycje bardzo własne i szanowne. Cóż tedy znaczy dowodzenie pewnych estetyków, że zaczyna się ona dopiero od Rodina?

Właściwie pewien krytyk polski idzie jeszcze dalej: Rodin był tylko pierwszym pionierem na drodze do stworzenia stylu współczesnego, i stąd jego olbrzymia zasługa dla rzeźby nowych czasów. Ale Rodin, jak pisze krytyk polski, „nie ośmielił się przewyciężyć w sobie nałogu realizmu, nie ośmielił się iść jedynie tylko za głosem twórczej swej duszy! Brał kształty z natury i ważył się stylizować tylko niektóre szczegóły”. Dlatego „nie stworzył stylu”. Ale wskazał artystom, że nowa rzeźba nie tylko „jest możliwą, lecz że jest konieczną”. „Jest on pierwszym wichrem rewolucyjnym—wichrem, który obala. Za nim dopiero mogą iść ci, co tworzą z gruzów i na gruzach”.

I przyszli, ale nie byli to jeszcze ani Meunier, ani Viegeland, których krytyk polski raz uważa za twórców nowej rzeźby, to znowu twierdzi, że nowego jeszcze nic nie dali, gdyż nie mogli się pozbyć dziecinnej przesady naśladowania natury.

Mesyaszem, zapowiedzianym przez prokura Rodina, jest dopiero pan Ksawery Duni-



PROJEKT POMNIKA CHÓPINA (zaszczytne odznaczenie)

EDWARD WITTIG

kowski. Tak utrzymuje p. J. Kleczyński w długim artykule p. t. „Rzeźba współczesna”, drukowanym w kilku numerach *Sfinks*a.

Twórczość p. Dunikowskiego ma być wykładnikiem ostatecznym owej rewolucji, owej walki „o swobodę twórczą, o śmiałość, zerwanie z tępy, bezmózgim przesądem artystycznym, zwanym realizmem”, o to, „by nie stosowano do dzieł sztuki logiki, jaką się zazwyczaj w życiu widzi, lecz aby rozumiano, że każde dzieło sztuki, jako twór żywy, żyjący duchem artysty, który go z siebie wyłonił, ma własną swoją logikę, poczętą w woli twórcy”. (*Sfinks*, str. 110, październik 1903).

W rzeźbach p. Dunikowskiego p. Kleczyński odnajduje „geometrię uczuciową” i rozmaite inne rzeczy, nie mające nic wspólnego z logiką, jaką się „zazwyczaj widzi”.

Nie mam tu miejsca na bardziej wyczerpującą dyskusję na temat celów, środków i zadań sztuki, chcę tylko uspokoić tych, którzyby po artykule p. Kleczyńskiego przypuszczali, że rzeźba p. Dunikowskiego, jako zupełnie nowe odkrycie, nada ton całej przyszłej twórczości w tym zakresie. Bardzo wysoko cenię talent p. Dunikowskiego i przyznaję, że w dorobku swoim artystycznym ma prace zupełnie pierwszorzędnej wartości, zresztą w najlepszych swoich utworach jest on realistą, a nawet naturalistą tak dalece zdecydowanym, że w rzeźbach jego, wziętych z natury kształtów ludzkich, lekarz określić może najdokładniej stany fizjologiczne i patologiczne odchylenia. Bądź co bądź, jest to indywidualność bardzo silna i bardzo niepospolita, ale z drugiej strony nie

uznają koniecznej potrzeby, ażeby cała nasza sztuka plastyczna iść miała dalej jego torami. Wiem nawet napewno, że dla wielu miłośników sztuki perspektywa taka wydałaby się nader ponurą. Otóż dla pocieszenia tych właśnie, którym twórczość artysty tego nie przypada do upodobania, mogę tu oświadczyć, że są już artyści młodszy, tworzący inną „nową sztukę” w zupełnie odmiennym duchu, czego wielu zasugestjonowanych modernistów nie widzi.

Spotkałem w Paryżu rodaka naszego, rzeźbiarza, który z niesłychanym wysiłkiem poszukuje kanonu absolutnego piękna. Czy kanon ten nie będzie powtórzeniem proporcji Polikleta lub Lisippa? W każdym razie będzie inny, niż p. Dunikowskiego. Artysta wypisał sobie w pracowni aforyzm Voltaire'a: „*Il faut être neuf sans être bizarre, souvent sublime et toujours naturel*”.

Pod takim hasłem przyszłość rzeźby nie jest już groźna.

Inni tworzą bez haśła, tworzą, jak czują. Dają kształty świata rzeczywistego, stylizując je tak, jak im się załamały w pryz-

macie ich temperamentu artystycznego.

Nic się tu nie zmieniło i nie zmieni.

T. JAROSZYŃSKI.

WARSZAWSKA SZKOŁA

SZTUK PIĘKNYCH.

Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych przeżywa okres przesilenia wewnętrznego. Od dłuższego już czasu było wiadome, że pomiędzy jej radą pedagogiczną a radą opiekuńczą panują zasadnicze różnice w poglądach na kierunek nauki. Oczywiście, o wyborze tego kierunku rozstrzygała całkowicie rada pedagogiczna, korzystając z szerokiej autonomii, zagwarantowanej jej przez ustawę. Wobec tego rada opiekuńcza, widząc swoją bezsilność, a nie tając niezadowolenia, podała się *in gremio* do dymisy. To demonstracyjne opuszczenie szkoły przez jej opiekunów mogło wywołać rozmaite komentarze na zewnątrz. Chcąc tedy komentarzom takim zapobiedz, Zarząd szkoły zwrócił się do szeregu instytucji i osób z prośbą o wyrażenie opinii o poziomie artystycznym szkoły i wartości stosowanych w niej metod. Jednocześnie pod adresem dyrektora Stabrowskiego nadszedł list od byłych uczniów Szkoły, studiujących obecnie w Paryżu. Wszystkie te dokumenty, ogłoszone w dziennikach, stwierdzają, że szkoła ma w sferach artystycznych opinię dobrą, oraz że nade wszystko zadowoleni są z niej uczniowie, z których niejedni zdobyli już odznaczenie zagranicą. Nie wpłynęło to jednak na radę opiekuńczą, która zdania swojego nie zmieniła. Nadto przeprowadzone świeżo wybory dały rezultat tylko połowiczny, gdyż członkowie kurii pierwszej i drugiej na zebraniu nie przybyli.

W ten sposób nieporozumienie trwa w dalszym ciągu.

Dla Szkoły, której rozwój zależy przede-

wszystkiem od zaufania, jakie ma ono w społeczeństwie, istnienie takiego rozdzwiku pomiędzy jedną radą a drugą jest bardzo niepożądane i prędzej czy później odbić się musi fatalnie na jej przyszłości.

Powołana do bytu przez silnie odczuwaną potrzebę stworzenia w Warszawie ogniska pracy artystycznej, dźwignięta dobrą wolą i ofiarnością szczupłego stosunkowo grona osób, które rozumiały tę potrzebę i pragnęły ją zaspokoić, dziś stanęła Szkoła na rozdrożu, a los jej budzić zaczyna obawy.

Co będzie dalej? Czy z takim trudem rozpalone ognisko kultury artystycznej w mieście, które coraz jaskrawiej rozbrat bierze ze sztuką, ma zgasnąć? Czyli też dla utrzymania tego ogniska należy, aby jedna ze stron poświęciła część swoich ambicji, a choćby nawet swoich przekonań, zwłaszcza że idzie tu o sztukę, która żadnych kanonów nie znosi?

Nie naszą rzeczą jest rozstrzygać, jaki kierunek powinna przybrać nauka w Szkole sztuk pięknych, co w niej stało na wysokości zadania, a co powinno uleść zreformowaniu. To pewna jednak, że sama Szkoła domaga się utrzymania, i że ten liczny zastęp uczniów, którzy z niej korzystają, ma prawo wymagać od rady opiekuńczej i od rady pedagogicznej, aby groźną chmurę, która zbiera się na horyzoncie, wspólnymi siłami zażegnały, zapewniając byt i rozwój instytucji przez przywrócenie jej zaufania ogółu, który, niekompetentny do wchodzenia w istotę sporu artystycznego, niepokoi się zewnętrznymi jego objawami, może je przeceniając, a może—oceniając trafniej od stron walczących.

Z. D.

BANKIET

NA CZĘŚĆ WŁ. ST. REYMONTA.

Przed paru tygodniami z inicjatywy pp. Mariusa i Ary Leblondów, o których działalności polskiej we Francji pisał niedawno *Tygodnik Ilustrowany*, oraz Biura Informacyjno-Prasowego Rady narodowej powstało stowarzyszenie franko-polskie, mające na celu zbliżenie intelektualne Francji z Polską. Stowarzyszenie to pragnie ułatwić Polakom, przyjeżdżającym na studia do Francji (literatom, artystom i t. p.) pobyt, a także zaznajomienie się z temi sferami artystycznymi czy literackimi, do których wstęp bezpośredni nie zawsze jest łatwy i możliwy. Ma ono dalej na celu informowanie Francuzów o dorobku intelektualnym polskim przez urządzenie odczytów i konferencji, ułatwianie przekładów autorów polskich, organizowanie wystaw i t. p. Jednym ze środków, jakimi posługiwać się będzie, są bankiety franko-polskie peryodyczne, albo też okolicznościowe, ile po temu nadarzy się sposobność.

Pierwsze wystąpienie młodego stowarzyszenia datuje się z dnia 12 b. m. Korzystając z pobytu Wł. St. Reymonta, zorganizowało obiad na jego cześć, który zgromadził około 150 osób ze świata literacko-artystycznego francuskiego i polskiego.

Bankiet Reymonta odbył się pod przewodnictwem p. J. H. Rosny, starszego, członka Akademii Dziesięciu (Goncourtów). Bracia J. H. Rosny uchodzą, przynajmniej w pewnym, ale dość licznym świecie literackim paryskim za najbardziej oryginalnych powieściopisarzy chwili obecnej. Rozpoczęli swoją karierę literacką powieścią z życia londyńskiego p. t. *Nell Horn* (1886) i opisem obyczajów rewolucjonistów francuskich w *Le Bilatéral* (1887); te dwie książki, zbyt odbiegające od tego, co zwykle i powszednie, nie od razu zyskały uznanie wśród szerokiej publiczności. Dopiero *Vamireh* (1892), powieść z czasów przedhistorycznych, tłómaczona także i na polski, uczyniła nazwisko braci J. H. Rosny głośnie. Od tego czasu sława ich ciągle rośnie; następują po sobie coraz to nowe utwory: *Daniel Valgraive*, powstający przeciwko zniechęceniu i abnegacji, *L'impérieuse Bonté*, powieść o wspaniałej miłości bliźniego, *L'indomptée*, historia kobiety wyzwolonej, *Les*

âmes perdues, której bohaterem jest anarchista Vaillant, *La Charpente*, traktująca o socjalizmie, *Sous le fardeau*, jedno z dzieł najsilniejszych, jakie napisali i t. d... Bracia Rosny niedawno wzięli „rozwód” literacki; starszy ogłosił *Mairthe Baraquin*, rodzaj historii młodej, samotnej



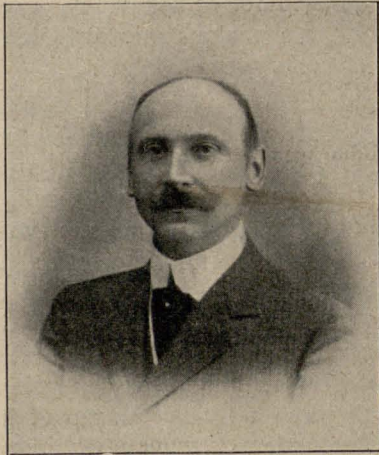
J. H. ROSNY, starszy.

dziewczyny, która, znalazłszy się sama na bruku paryskim, cierpieć musi prześladowania apaszów i sutenerów, mimo to jednak na duchu nie upada i z tej ciężkiej próby zwycięsko wychodzi. Obydwaj bracia J. H. Rosny należą do Akademii Goncourtów i cieszą się powszechną czcią młodej Francji literackiej.

Uroczystość bankietowa rozpoczęła się od czytania listów i telegramów, które ze wszystkich miast stołecznych Polski nadeszły. Podajemy ważniejsze: od stowarzyszeń i korporacji: Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów polskich na Rzeszę Niemiecką, Wydział oświatowy straży poznańskiej, Towarzystwo sztuk pięknych w Poznaniu, Koło artystyczno-literackie ze Lwowa, Biuro Rady narodowej ze Lwowa, Stowarzyszenie dziennikarzy polskich ze Lwowa, Koło artystyczno-literackie z Krakowa, Koło literatów i dziennikarzy z Kijowa, Stowarzyszenie artystyczne „Zero” z Krakowa i t. d.; redakcje: *Tygodnik Ilustrowany*, *Kuryer Warszawski*, *Czas*, *Nowa Reforma*, *Głos Warszawski*, *Kuryer Poznański*, *Przegląd Emigracyjny*, *Dziennik kijowski*, *Kraj* i t. d.: nadeszła także telegramy: pp. Józef Kościelski, Jacek Malczewski, Kossak, Tetmajer, Kowalski, Hoffman, Józef Wolff, Edward Paszkowski, Sokołowski, Adam Krechowicki, Ostaszewski-Barański, Ramułt, Jordan, Ignacy Baliński, dr. Kolczewski, Bernard Chrzastowski, Marian Seyda, dr. Tadeusz Jaworski, Joachim Bartoszewicz, dr. Henryk Gierszyński, Stanisław i Bronisława Ostrowscy i t. d.

Po odczytaniu telegramów zabrał głos p. J. H. Rosny:

„Jestem — mówił — wzruszony i zawstydzony



Maurycy Muret.

tem, że mnie powołano do przewodniczenia dzisiejszemu bankietowi, wydał mi się na cześć znakomitego pisarza, a także mającemu na celu, ile to bankiet uczynić może, utrzymać i dawne, a bratniego stosunku między Francją a Polską. Nic innego nie wskazywało na to, abym tę rolę dzisiaj wieczorem wypełnił, jeno bardzo głębokie uczucia moje dla tego wspaniałego narodu, który dzielnie

zdołał stawić czoło najbardziej okrutnym gwałtom i który, dzisiaj jeszcze, daje nam w Polsce niemieckiej najpiękniejszą lekcję energii i bohaterstwa. Mąż, symbolizujący dzisiaj wśród nas tych, co nigdy nie przestali być naszymi przyjaciółmi, jest zarazem pisarzem znakomitym, czczonym od swych współziomków; przechodził on gorzkie próby losu, cierpiał, pracował ciężko, żył wśród prostactwów. Potrafił więc ich opisać nie tak, jak ci pisarze, co „fabrykują naród” („fabriquent du peuple”), korzystając z podręczników i z mało ścisłych ankiet, ale podając obrazy żywe. Wł. St. Reymont zaznajomił nas z nieszczęśliwym życiem drobnych urzędników, aktorów prowincjonalnych, robotników łódzkich, z piekłem przemysłowym tamtejszem; opowiedział także wiele scen z życia wiejskiego: stały się one źródłem jego arcydzieła. „Chłopi” odzwierciedlają szeroką i promienną wieś polską, malują jej rzeczywistość głęboką, lud wiejski, którego obyczaje, namiętności, siłę wewnętrzną, upodobania i wady opisują ze ścisłą i silną dokładnością... To też jestem dumny i szczęśliwy, że mogę wnieść toast na cześć męża, który symbolizuje swą ojczyznę w sposób tak godny! Wypijmy tedy na cześć wiecznego powodzenia Polski i na sławę jednego z najbardziej znakomitych jej przedstawicieli... Ale przy tej sposobności nie zapomnijmy podziękować pp. M. i A. Leblondom, oraz p. Muret'owi za wysiłki, które uczynili w celu zorganizowania dzisiejszego zebrania. P. Muret przerwał swoje ciekawe i przenikliwe studia nad literaturą zagraniczną; pp. Leblond, których ciekawe książki znamy wszyscy, książki oryginalne i pełne siły, przestali się troszczyć o swą rosnącą sławę, na ich więc cześć wnieśmy także zdrowie!”

Po przemówieniu p. J. H. Rosny zabrał głos Wł. St. Reymont i podziękował następującymi słowy:

„Rozumiem dobrze, że nie dla mnie, nie dla mojego nieznanego imienia, ale dla imienia mojej Ojczyzny zebraliście się tutaj i Polskę uczcie chciecie. Więc żałuję niezmiernie, że władam tak złe Waszą cudną mową i nie mogę Wam podziękować tak, jakbym tego pragnął. Pozwólcie jednak, chociaż niedołącznie, wyrazić serdeczne podziękowanie i wdzięczność, zwłaszcza p. prezydentowi dzisiejszego zebrania, p. J. H. Rosny, wielkiemu śpiewakowi cierpienia i niedoli, tak znanej polskiemu sercu! Niemniej również jestem wdzięczny pp. M. i A. Leblondom, świetnym heroldom Polski, szlachetnym heroldom narodu, rozdartego i stratanego przez dziką i barbarzyńską przemoc, jak tym wszystkim, dla których Polska nie jest tylko nazwą geograficzną, i to kwestyonowaną w wielu krajach. Mówię w swoim imieniu, ale jestem pewien, że każdy Polak czuje to samo: „Niech żyje Francja!” Francja—słońce, do którego tęsknią wszystkie uciśnione ludy! Francja—źródło postępu i wolności! Francja—oaza święta wygnanców i wszystkich cierpiących prześladowania. Bo Wasza sztuka, Wasza literatura i Wasza idea zapładniają ludzkość radosną wiedzą życia! Jesteście pochodnią świata i jego zbawieniem!”

Zabrali później głos pp. Henri Chantavoine i Władysław Mickiewicz... P. Chantavoine, prezes stowarzyszenia *des critiques littéraires et bibliographes*, znakomity mówca, z dużą werwą, z głębokim odczuciem przypomniał w paru zaimprovizowanych słowach dawne i ciągłe stosunki, jakie łączyły i łączą Francję z Polską, wspólne wspomnienia historyczne, wspólne nadzieje tych dwóch bratnich narodów. Mówił o przyjaźni Adama Mickiewicza z Michelet'em i Quinet'em, o zainicjowanym w Paryżu pomniku naszego wiejszcza; zakończył toastem, wzniesionym na cześć syna Adama.

Wreszcie odpowiedział p. Władysław Mickiewicz, dziękując w imieniu Polaków organizatorom tej uroczystości, która, służąc tradycji dawnych naszych przyjaciół Francuzów: Lafayette'a, Armand Carrel'a, Lamennais'go, Michelet'a, Quinet'a i innych, tradycje te pragnie podtrzymywać i pielęgnować.

Bankiet udał się znakomicie. Żaden dysonans, żadne najdrobniejsze nieporozumienie, to chyba jedno, iż sala zbyt mała z trudnością po-

mieścić mogła zebranych gości, nie zakłócały ogólnej harmonii, sympatii wzajemnej, szczerzej a niekłamanej.

Należy się wdzięczność organizatorom bankietu, a szczególnie pp. M. i A. Leblondom, p. M. Muretowi, którzy z bezinteresownością, godną uznania, zajmują się sprawami polskimi we Francji.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

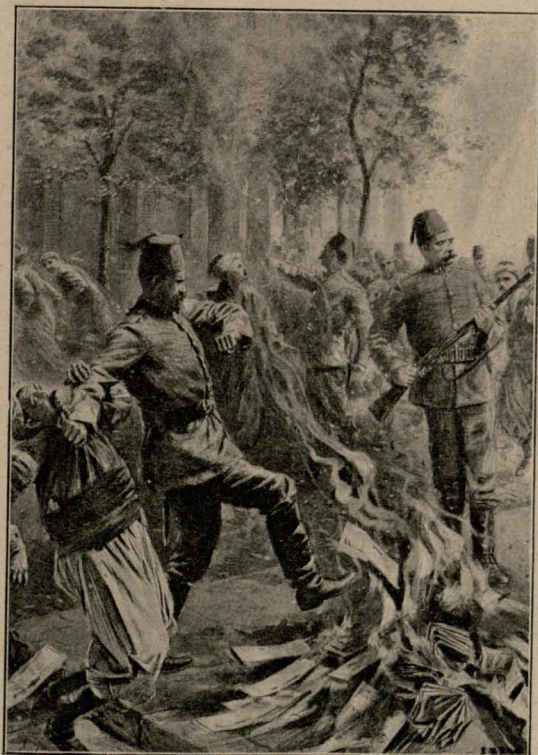
Na szerokim świecie.

Sąd Salomonowy.—Panu Bogu świeczkę i dyabłu ogarek, czyli wszyscy zadowoleni.—Kłopoty młodoturków.—Plus ça change, plus ça devient la même chose.—Rozrywki bachiczne niewiast w Ameryce.

Dzisiejszy przegląd zacząć nam wypada od sądu Salomonowego. Może przypominają sobie czytelnicy słynny zatarg francusko-niemiecki w Casablanca. Chodziło o to, że z legii cudzoziemskiej francuskiej uciekło kilkunastu dezertersów Niemców, którzy udali się pod opiekę swego konsulatu. Konsulat niemiecki opiekę przyjął, co uczynił nieprawnie, boć oczywiście żołnierze danego państwa, bez względu na narodowość, przedewszystkiem jurysdykcji wojskowej tego państwa podlegają. Stąd groźenie rewolwerami urzędnikom konsularnym niemieckim, kije żołnierzom, a w rezultacie zatarg dyplomatyczny, tak w swoim czasie zastrzyony, że omal do wojny nie doprowadził.

Ku tryumfowi stronników wiecznego pokoju obydwa państwa zgodziły się na poddanie sporu pod rozstrzygnięcie trybunału rozjemczego w Hadze. Jak zwykle sądy polubowne, które dlatego właśnie nie mogą wykorzenić pojedynków, tak i wyrok trybunału rozjemczego przyznaje słusność i zarazem niesłusność obu stronom; roi się w nim od różnych „jakkolwiek”, „ale” „to jednak”, usiłujących treść wyroku załagodzić. Oczywiście, główną winę złożono mimo wszystko na konsulat niemiecki. I nie mogło być inaczej. Dziwić się tylko można, że przecież uznano zupełnie uzasadnioną obronę praw francuskich, choćby z rewolwerem w ręku, za nieuzasadnioną. Tu widać już chęć dogodzenia za wszelką cenę drugiej stronie. Ale—wszystko dobrze, co kończy się dobrze. Nie krytykujemy wyroku, skoro obie strony są z niego zadowolone.

Po ostatniej kontrrewolucji młodoturcy ciężki mają do likwidacji spadek. W stolicy panuje wprawdzie spokój, ale kosztem setek szubienic, dziesiątków tysięcy uwięzionych i wygnanych żołnierzy, wreszcie na swój sposób pojmwanej cen-



Młodoturcy w roli cenzorów prasy.

zurze pism opozycyjnych, czyli w danym razie reakcyjnych. Zmieniają się cele i poglądy, a metody pozostają te same, wystawiając mniej chlubne świadectwo rozwojowi cywilizacji.

Trudności wewnętrzne, pewien bezład i rozprężenie nie sprzyjają także nowym rządóm. W Albanii fanatyczna i zachowawcza ludność muzułmańska gotuje się do odwetu w imię interesów złożonego z tronu sułtana i rzekomo zagrożonych interesów Islamu. Arabii południowej, „krajnie szczęśliwości”, trzeba było dać rodzaj autonomii pod zwierzchniem władaniem miejscowego naczelnika duchownego, Imama. Wreszcie, okazało się, że w Adanie, w rzeziach Armeńczyków, uczestniczyły wojska młodotureckie, co prawda, dopiero wtedy, kiedy zostały zaczepione. Jeżeli się jednak zważy, że w okolicach Adany i w Adanie samej zginęło jedenaście tysięcy chrześcijan, a piętnaście tysięcy mahometan, to rzezie i ucisk rzekomy Armeńczyków przedstawi nam się w dziwnym i zgoła innym świetle, jako objawy barbarzyństwa i dzikości obu wyznań i obu narodowości, także jako dowody bezsilności rządu, który nie może zapewnić w tych nieszczęsnych krainach porządku i spokoju publicznego.

Teraz zaczną się sądy, wyroki i kary na winnych. Będą to naturalnie przypadkowo wybrani ludzie, bo przecież tam, gdzie ginie blisko trzydzieści tysięcy ludzi, winien jest chyba cały ogół, a nie jednostki. Ale te wyroki i kary podniosą zachwiany *prestige* nowego rządu. W stanie anarchii—interwencja obca jest zupełnie możliwa, a nawet nieunikniona. Położenie jest bardzo poważne.

* * *

Przejdźmy do rzeczy weselszych w objawach, jeżeli nie w następstwach. Cywilizacja lu-



Amerykańskie panie, jako bachantki.

dzi sytych i próżniaczych wszędzie i zawsze chyli się ku upadkowi, co się wyraża w zwyrodnieniu i dziwactwie rozrywek. Tak zginął stary Rzym, tak zdaje się ginąć Ameryka, upostaciowana zresztą tylko w „górnym dziesięciu tysiącach”. Coraz to dziwniejsze z tej sfery dochodzą nas wieści.

Oto teraz wśród młodych kobiet „świata” w Nowym Świecie zapanowała moda zabawy w bachantki i bachiczne pochody. Ciekawą byłoby rzeczą, jak daleko młode *misses* kult swawolnego bożka doprowadzają? Prawdopodobnie odpowiedź brzmiałaby uspokajająco. Od wielu zboczeń z nudnej drogi prostej na słodkie i upajające manowce strzeże młode Amerykanki zaleta, czy wada — jak kto woli—brak temperamentu. Może nie zagraża im tedy wesoła para Bachusa i Wenery?.

UROCZYSTOŚĆ SŁOWACKIEGO W PARYŻU.

Naprzód w piękny poranek kwietniowy okwiecono grób poety, a Artur Górski, przemawiając o nieśmiertelnym jego duchu, zastanawiał się nad pytaniem: czy nadeszła już istotnie chwila, aby kraj, złożony z nie rozumiejącej piewcy „Anhellego” młodzieży i z akademików, nagradzających „paszkwile” na poetę, mógł godnie przyjąć jego zwłoki? Młody Lotaryńczyk, entuzjastycznie się do bólów Polski, Emil d’Arnaville, odczytał nad grobem serdeczną sympatią przepełnione strofy.

A potem „damska akademja”, grupująca się około oryginalnej instytucji „*Franceise*”, udzielającej gościny i Duńczykom, i Turkom, powołała kolonię polską na obchód polskiego poety. Był to wieczór ponadliczbowy, nadporządkowy w liczbie miesięcznych zebrań polskich.

Ow młody sympatyk naszej sprawy, d’Arnaville, mówił o Byronie Polski z zapalem, udzielającym się oklaskującemu go audytorium francuskiemu. Poezye Słowackiego („Grób Agamemnona”, fragmenty z „Anhellego” i „W Szwajcaryi”) deklamowali artyści Odeonu i Gymnase’ów w bardzo pięknym przekładzie Maryi Szelig.

Panna Marya Otto - Trąmpczyńska, bawiąc w Paryżu chwilowo, przed wyjazdem za Ocean, pięknym głosem śpiewała pieśni Paderewskiego, Żeleńskiego i Rutkowskiego. Szczerem uznaniem cieszący się tenorzysta, Stefan Idzkowski (pozywany już dla scen włoskiej), śpiewał „Manru”, „Halke” i pieśni Galla. Chopin’a grała panna Ostrzyńska.

Wieczór polski spotkał przyjęcie nader sympatyczne. Stanowisko prasy paryskiej, umiejącej już odróżniać Polaków od Rosyan, zaczyna być nader znamienne. Uczta dla Reymonta i zapowiedziane przyjęcie dla Paderewskiego budzą w dziennikarskim Paryżu więcej zainteresowania, aniżeli zebrań młodotureckie. Zasługa to nie tylko „alianu polsko-francuskiego” natle stosunków artystyczno-literackich, lecz i zmiany wiatru, wywołanej ruchem nowo-słowiańskim. Praktyczni Francuzi szepczą sobie na ucho: „A nuż wyniknie coś z tego?” Oportunistyczna rzeczpospolita sięgać poczyna do tradycji polsko-napoleońskich.

Wreszcie w uniwersytecie ludowym polskim im. Worcella Antoni Lange wygłosił konferencyę o stanowisku Słowackiego w literaturze polskiej i międzynarodowej.

a. r.

Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

STANCE.

JAN MORÉAS.

Gwałcąc nagle tych dżdżystych dni żałobne zwoje,
Na ogromne kasztany w ostatniej zieleni,
Na wodę, na klomb późny i na oczy moje
Zlewasz swą bladą słodycz, o słońce jesieni!

Czego chcesz od nas, słońce! Kwiat niech zwiędnie
lepiej!

Listowie niechaj zgnije i z wiatrem pożenie!
Wodom dam się zamroczyć, mnie zostaw cierpienie,
Które żywi myśl moją i mą duszę krzepi.



Znakomita tancerka, pani Macara, występująca obecnie w Dolinie Szwajcarskiej.

Portrety na dobre.

Konkurs budowy pomnika Fryderyka Chopina w Warszawie, świetnie pomyślany i zorganizowany, przyniósł, jak wiemy, plan znakomity. Zawdzię-



czyć to należy niezwyklej energii, zabiegłości i nieustrudzonej pracy dra Henryka Dobrzyckiego, wice-prezesa komitetu, znanego lekarza, niestrudzonego pracownika na tyłu polach działalności społecznej, zarazem muzyka — i jednego z najgorętszych wielbicieli pieśni Chopinowskiej. Ciężka, niestety, choroba, nie pozwoliła mu uczestniczyć w sędziach konkursowym, stan jednak jego zdrowia ma się już obecnie ku lepszemu — i jest nadzieja, że doprowadzi on do końca pod tak pomyślną wróżbą rozpoczęte dzieło, czego mu z całego serca życzymy.

Pokłosie wydawnicze.

Dr Harald Höffding. Współcześni filozofowie, Książnica naukowa i artystyczna, Kraków, 1909.

Niedawno rozpoczęte wydawnictwo p. t. *Książnica naukowa i artystyczna* zamieściło już w swoich tomikach kilka ciekawych i cennych rozpraw, jak np. Cypryana Norwida „O Juliuszu Słowackim“, R. W. Emersona „Przedstawiciele ludzkości“, Ostatni tom zawiera zbiór wykładów, wygłoszonych przez znakomitego psychologa i filozofa duńskiego, Harald Höffdinga, w Kopenhadze w r. 1902, p. t. „Współcześni filozofowie“. Ściśle biorąc, jest to zbiór monografii o najznakomitszych przedstawicielach nauki dzisiejszej, jak Wilhelm Wundt, Robert Ardigó, Francis Herbert Bradley, Alfred Fouillée, Ryszard Avenarius, Jan Marya Guyau, Fryderyk Nietzsche, Rudolf Eucken, William James. Wiąże zaś je myśl wspólna, zagadnienie, w jaki sposób najprzedniejsze umysły dzisiejsze wpływały i wpływają na ukształcenie się i rozwój ducha współczesności. Dziełko bardzo pożyteczne, uważny samouk znajdzie tu dużo wiadomości i poglądów, w formie popularnej, odczytowej, co pozwala korzystać z książki nawet czytelnikom mniej przygotowanym.

„Chochlik“ i tancerka.

„Chochlik“ jest to nowa scenka kabaretowo-literacka, stworzona i prowadzona przez pp. Tadeusza Ulanowskiego i Władysława Jastrzębca-Zalewskiego, w sali „białej“ gmachu „Doliny“, z dobrym smakiem i subtelnym poczuciem sztuki dekoratorskiej przez prof. Trojanowskiego zewnętrznie przyozdobiona.

Na scenie tej, przesuwa się szereg nowo-kreowanych wyznawców i kapłanek śmiałego słowa, w formę satyry literackiej lub melodyjnej śpiewki czy piosenki ujętego, przy wtórce pianina i oklasków słuchaczy.

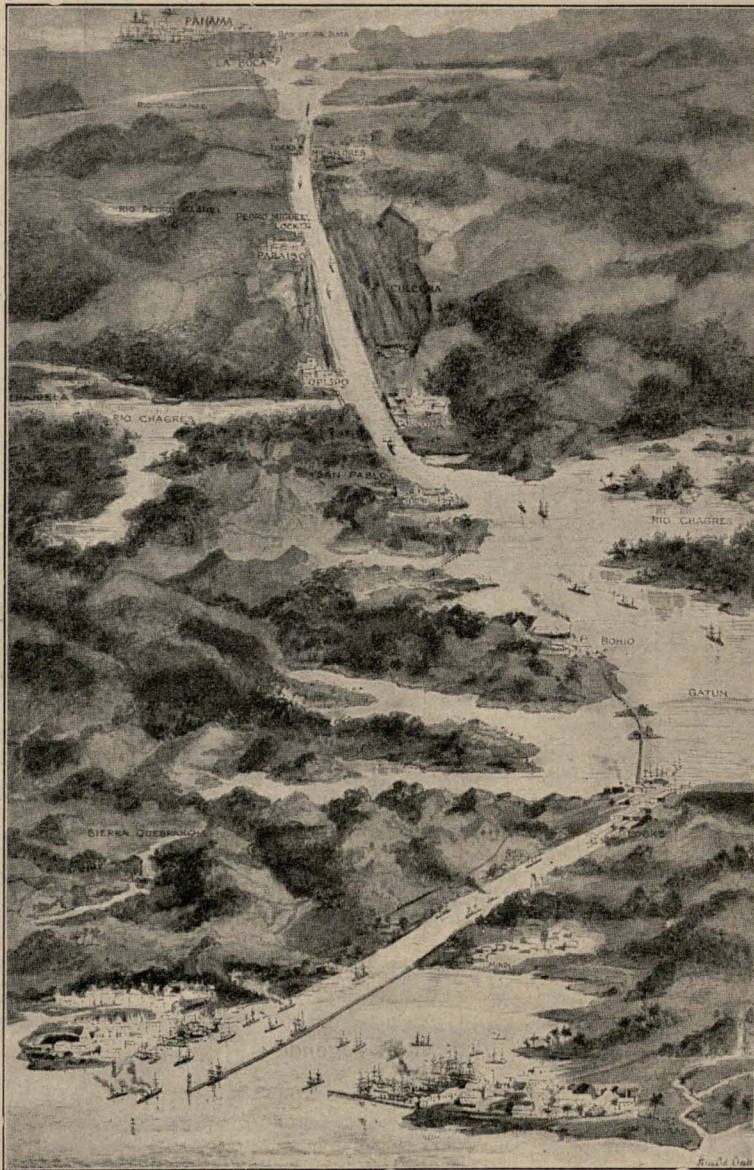
A kiedy ten „chochlikowy“ korowód zniknie za

kulisami, w sali robi się ciemno, i po chwili ukazuje się na estradzie postać dziwna, nowa, ciekawa.

W postawie nawpół kłęczącej, nawpół leżącej zmartwiła, ożywia się powoli, budzi w ruchach leniwych, rytmicznych, o liniach krągłych, elastycznych, powstaje prosta i smukła, wężowa i smągła, bosa, w czarnej, atlasowej, otulającej ją tunice, tancerka. Ni to Malajka, ni Japonka, ni Nubijka, ni Metyska, ni Kreolka, ni Egipcyanka.

odrębną, oryginalną, tchnącą temperamentem kobiet z południa i mistycyzmem kapłanek bogiń dalekiego wschodu, zjawisko o kształtach i rysach, przez siebie sprytnie pomyślanych i znakomicie wcielonych.

I tańczy. A taniec jej nie jest ekstazą nastrojów, uczuć, tak miękko i łagodnie wyrażaną przez Izadorę Duncan. To taniec zmysłów, wstrząśnień, walk, dreszczów i upojen. Osiąga ona jego silne



KANAŁ PANAMSKI Z LOTU PTAKA. Kanał Panamski, jeden z najśmielszych pomysłów inżynierskich ubiegłego stulecia, następnie źródło nadużyć politycznych i finansowych, które zakończyły się bankructwem kompanii francuskiej, obecnie w rękach amerykańskich szybkim krokiem zbliża się do urzeczywistnienia. Jak widać z ryciny, wychodzi on z Oceanu Atlantyckiego od miejscowości Colon, użytkując następnie wewnętrzne jeziora i rzeki, i znajduje wylot na Ocean Spokojny w zatoce Panamskiej, nad którą leży miasto Panama. Colon leży na północy, Panama zaś na południu. Olbrzymie korzyści handlowe, wynikające z przerznięcia kanału, są jasne i staną się przede wszystkim niebawem udziałem obu Ameryk, ułatwiając stosunki morskie między Brazylią a Meksykiem, zachodnimi Stanami Zjednoczonymi i zachodnią częścią Kanady, oraz między Peru, Chili i rzeszpospolitą Argentyńską a całą Ameryką północno-wschodnią. Znaczenie doniosłe kanału wynika jeszcze z tańszego o wiele przewozu morzem, niż lądem, oraz z braku komunikacji kolejowych w Ameryce Południowej. Twórcy kanału mieli do zwalczania trudności olbrzymie, wynikające z zabójczego klimatu gorącego i wilgotnego (kanał położony jest na 9 stopni szerokości północnej), oraz z powodu koniecznego przewyciężania olbrzymich przeszkód technicznych.

To Europejka, Szkotka z ojca, Angielka z matki i wychowania, Amerykanka z urodzenia, miss Macara, jedna z tych, których dziwne nazwisko i portrety widnieją w olbrzymich formatach u wejść wszystkich „variétés“ i „kabaretów“ stołecznych na obu półkulach.

Miss Macaro jest sobą, tylko sobą. Zupełnie nieładna „po cywilnemu“, tworzy z siebie na scenie postać wysoce pociągającą, egzotyczną,

wrażenie zgoła niejakimiś, wymyślnymi „pas“ nóg, zbanalizowanymi przez współczesne tancerki baletowe, ale zupełnie swoistą i odrębną gestykulacją i mimiką rąk, dłoni i palców.

Możnaby o tej mimice napisać małe studium, a jej zagraniczni wielbiciele nazywają ją „tancerką rąk“.

ZMARLI.

JÓZEF SZCZEPKOWSKI, b. artysta teatrów rządowych, b. profesor Instytutu Muzycznego, zmarł w Warszawie 2 b. m. w wieku lat 60. Po ukończeniu gimnazjum filologicznego w Warszawie kształcił się dalej w muzyce u najznakomitszych nauczycieli owego czasu, aż wreszcie praca jego uwieczniona została debiutem w roku 1873 w „Trubadurze“ Verdi'ego w roli hr. di Luna. Od-



ąd przez lat kilkanaście pracował z powodzeniem na scenie warszawskiej. Nadwątłone zdrowie zmusiło go do usunięcia się z tego posterunku i poświęcenia się wyłącznie karierze pedagogicznej. Zmarły zamieszczał także artykuły o muzyce w nie istniejących już dziś czasopismach: *Opiekun's Domowym* i *Echu Muzycznym*. Wydał i pozostawił w rękopisie kilkanaście romansów do śpiewu i kilka kompozycji na fortepian.

ZE SZTUKI.

Arcyksiążę Karol Stefan od paru tygodni na jachtie swoim „Rovenska“, podróżuje po morzach Śródziemnym i Adryatyku. W tych dniach zatrzymał się w Syrakuzach, gdzie o tym czasie nadeszło zaproszenie J. C. M. na *vernissage* „Zera“. W piśmie pod adresem prezesa Kossaka oświadcza arcyksiążę łaskawą gotowość swoją przybycia na otwarcie wystawy, jeżeli tylko plany jego powrotu nie ulegną zmianie.

W Ursynowie.

Iznowu Seminarium Nauczycielskie w Ursynowie, siedzibie Niemcewicza, tego poety-żołnierza, co w swoich losach i trudach najlepiej Polskę uosobił, otwiera gościnnie swą bramę na przyjęcie nowych gości, kandydatów na kurs pierwszy i drugi. Jak wielką instytucja ta odgrywa i będzie odgrywać rolę w naszym życiu społeczno-kulturalnym, okazał w jednej z tegorocznych kronik naszego pisma Bolesław Prus. Nie trzeba więc przypominać Ursynowa naszym czytelnikom. Cieszyć się tylko należy, że nareszcie mamy instytucję, która promieniować będzie światłem dookoła, nieść pod strzechy „oświaty kaganiec“. Oby jak najplenniejsze rzucała ziarno na przyszłe żniwo!

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.
„ENGLISH CLOTHING HOUSE“.

MEBLE STYLowe M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ poleca:
Sole do kąpielii NAUHEIMSKICH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii BALSAMICZNYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii JODOWO BROMOWYCH z kw. węgl.
Sole do kąpielii SIARCZANYCH z kwasem węglowym.
Sole do kąpielii ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

Składy na Meble
„SYRENA“
Krak. Przedm. 38

Najlepsze perfumy, mydła i wody
kolonjskie S. J. Czepelewskiego
Żądać wszędzie.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne
sprzedają wszędzie.

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie



— Okropność!—jęknęła panna Zubowska i zakryła twarz chudemi rękami.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

U N I A

POWIEŚC LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 22)

Zaśmiała się nieszczerze, ironicznie. Czarne oczy Krystyny poważniały tymczasem okrutnie.

— Pan Kazimierz Rokszycki nie umi- zgał się do mnie wcale. Mówiliśmy z sobą długo i bardzo poważnie.

— Ej, Krysiu, przyznaj się! Gadał ci jakieś madrygały? Bo przecie mówią, że w Wiszunach zaręczył się prawie z Budzi- szówną, i tu pani Wiliaszew przyniosła mi swoją porcyę jego westchnień jeszcze go- rącą, i ja sama rozmawiałam z nim w par- ku. Nie wątpi o sobie, bardzo jest przed- siębiorczy.

— Może to być... nieprawdą—rzekła Krystyna z naciskiem na ostatnim słowie.

— Z jego strony, zapewne—odpowie- działa księżna głosem twardszym.—Próbuje swego wdzięku i szuka. Szuka kobiety, któraby mu pomogła w jego spekulacjach pieniężnych i politycznych. Więc albo po- sag złapie, albo kobietę piękną, jak ty na- przykład, bo i to za posag starczy. Już ja

się znam na gatunku mężczyzn. Wierz mi, Krysiu.

Pani Krystyna stanęła przed księżną w groźnej zupełnie postawie. Rozpuszczone włosy zdawały się jeżyć w grzywę Gorgo- ny. I rzekła zajadłe:

— Ja tego słuchać nie chcę, rozumie księżna? nie chcę!

Jaśnie oświecona protektorka nie ru- szyla się jednak z fotelu. Spoglądała na Krystynę wzrokiem zagadkowym, udającym ubolewanie, ale jadowitym. Więc Krystyna poszła szybko ku drzwiom sąsiedniego ubie- ralnego pokoju, znikła w nim i zatrzasnęła drzwi za sobą. Trudno było wyrazić do- bitniej przerwanie konferencji. I księżna wyjśćby musiała niepyszna z pokoju, gdy- by w tej chwili nie ukazała się na progu pokorna i pojednawcza postać panny Karo- liny Zubowskiej.

— Cieszę się, że pannę Karolinę spo- tykam—rzekła księżna łaskawie—może choć przez ciebie trafię do rozsądku tej waryatki.

Mamy z nią ciągly kłopot, a ona jeszcze zła się zrobiła, jak jęzda.

— Proszę księżnej pani, trzeba wyro- zumieć... Ona jest w tak trudnej sytuacji...

— Co mi tam mówisz o sytuacji! Trzeba tylko mieć coś tu... w głowie. Sia- dajże, panno Karolino...

Staruszka usiadła na krześle ceremo- nialnie.

— Trzeba za nią myśleć, skoro ona nie umie—ciągnęła księżna.—Opiekę ma tu przecie idealną, pieszczą ją, admirują... Jed- nej rzeczy jej brak, i to wpływa na jej dzi- waczny humor: kobieta młoda i ładna, jak ona, nie może żyć bez męża. *Cela porte au cerveau.*

— Ach, księżno!... panie musicie to wiedzieć.

— Nie spuszczaaj oczu, panno Karolino. Trzeba tu radzić, bo się nam Krysiu zupeł- nie rozhisteryzuje, albo palnie jakieś ogrom- ne głupstwo.

— Czyż można przypuścić, księżno panil

— Ale nie, nie. Mówię, że gotowa się zaręczyć z pierwszym lepszym.

— Proszę księżnej, ona tak nadzwyczaj wybredna i tak sumienna w wyborze...

— Masz tobie: sumienna! Sensu niema, moja kochana! Naprzykład teraz zajął ją taki pan Rokszycki. Przecie to dowód zupełnej ślepoty, aberracya!

— Pan Rokszycki? Sądziłam, że śliczny człowiek.

— Doskonale! Już i panna Karolina pomaga. Liczyłam na pani rozsądek.

Zawstydenie wystąpiło na zawiędłą twarz panny Zubowskiej nie barwą rumieńca, lecz drżącą bladocią.

— Ja nie wiedziałam... jabym przecie dla Krystyny duszę oddać rada... ja nie wiedziałam.

— Więc dowiedź się, moja panno Karolino, że to jest drugi syn jakiegoś drobnego obywatela z za Wisły, bez osobistego majątku, spekulant, szukający posagu, i człowiek złych obyczajów, zupełnie dla Krystyny niebezpieczny.

— Ach, mój Boże!—załamała ręce panna Zubowska.

Widząc skuteczne działanie swej przemowy, księżna mówiła dalej z lubością, którą odnajdują pewne natury skomplikowane w zakłócaniu spokoju dusz czystych.

— Nie chciałam Krysi opowiadać wszystkiego, co o nim wiem; ale tobie mogę, jako starszej. Wyobraź sobie, że, kiedy zaszłam z nim w parku do tej ławki daleko—wiesz? nad wodą—i siadłam nieuważnie, odkrywając trochę pończochy, o tak.—

Podkasła suknię, a oczyma, nozdrzami i rękoma dorysowała wyraziście gest bezwstydną.

Panna Zubowska, otwierając przerażone oczy, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, wyglądała tak, jakby ktoś niesłychane zamiary okazywał względem jej biednej osoby.

— ...wtedy on chciał mnie objąć w pół, zbliżał się już do mojej twarzy, sapał—no, rozumiesz?

— Okropność!—jęknęła panna Zubowska i zakryła twarz chudemi rękoma.

— Ja takie pomysły jednym spojrzeniem umiem przyprowadzać do porządku. Ale wyobraź sobie, żeby tak z Krystyną!

— Okropność!

— Dużobym ci mogła jeszcze zacytować z jego konwersacji. Widzisz, na jakich to ludzi łapie się Krysi i zapytuje ich, swoim zwyczajem, czy mają sumienie. Widzisz, że za nią trzeba wybrać, a nie jej pozostawić wybór.

— Ale jak to uczynić?—pytała zrozpaczona panna Zubowska—przecie ona nikogo nie słucha.

— Jeżeli nie będzie słuchała nas, a przedewszystkiem pana Chmary, może być zgubiona. Tymczasem tego jakiegoś pana Rokszyckiego ona już więcej nie zobaczy. Nie powtarzaj jej tego, panno Karolino, ale działaj z nami—dla jej dobra.

Księżna pozostawiła pannę Zubowską w takim stanie odrętwienia, że staruszka nie powstała nawet, aby pożegnać wychodzącą.

Księżna przed wyjazdem z Rarogów

miała jedną jeszcze krótką konferencję z Chmarą.

— Gorzej, niż myślałam—mówiła.—Ten jegomość na dobre jej w głowie zawrócił. Musi pan jej pilnować—i korespondencyi—rozumiemy się?

— Wszystko uczynię, aby pokierować odpowiednio losem pani Krystyny—odrzekł Chmara uroczyście.—Zdanie kochanej księżnej o panu Rokszyckim utwierdziło mnie w moich spostrzeżeniach.

— Zarozumiały i niesmaczny człowiek—rzekła księżna.

— Gorzej: niepożądany wcale element szowinistyczny, gdyby miało przyjść do tego, aby się w okolicy miał osiedlić.

— Prawda, wzięłby Auszrę w administrację.

— I zmarnowałby. Interes zaś Auszry może się jeszcze wyrobić.

— W pana rękę, panie Eustachy?—rzekła księżna z przenikliwym, ale przyjaznym uśmiechem.

— Pochlebiam sobie.

Wiązanka rozrzewnień, osnutych na wzajemnym szacunku i zapewnieniach wzajemnej użyteczności, zakończyła rozmowę.

Po wyjeździe księżnej Katarzyny atmosfera w Rarogach powróciła do normy, która przypominała zakład leczniczy. Stojący w pięknym parku, w zdrowym kraju, pałac byłby wesoły, gdyby nie ciężka feruła naczelnego lekarza i właściciela, regulująca postępkę dozorczyń i służby. Pani Krystyna nie znajdowała się tu ani w internacie, ani pod wyraźnym dozorem, odczuwała jednak na każdym kroku upartą wolę kierownika zakładu, niby natrętny regulamin higieniczny.

Nazajutrz po wyjeździe Kazimierza napisała do niego list długi, serdeczny, wymagający niezwłocznej odpowiedzi; włożyła go sama do torby pocztowej, gdy już posłaniec odjeżdżał; przeprowadziła tego posłańca oczyma aż za bramę parku.—Używał już tydzień bez odpowiedzi. Wtedy, podejrzewając swych opiekunów o haniebną kontrolę na stacji, sprowadziła zaufanego swego leśnika Sidorkiewicza, wręczyła mu drugi list i depezę terminową z poleceniem wysłania obu z innej stacji kolejowej, o kilka mil odległej, i doczekania się odpowiedzi na depezę. List, z konieczności ostrożniejszy i bardziej stropiony przez niepewności różnej natury, podawał adres na odpowiedź do Sidorkiewicza (poprzedni był do panny Zubowskiej), a telegram zapytywał tylko o wyjaśnienia. Na drugi dzień dopiero Sidorkiewicz przywiózł odpowiedź na depezę, że „adresat wyjechał wczoraj z Wilna”.

Wszelkie rozterki z ludźmi i z losem miała zwyczaj Krystyna powierzać swej dawnej nauczycielce. Ale panna Zubowska, która zasadniczo przejmowała umiłowania i troski swej ukochanej pani, teraz stała się trwożliwszą, nie tak łatwo potakującą zdaniu Krystyny o Kazimierzu. Wyjaśniło się niebawem, że opowiadanie księżnej Zasławskiej podziało na staruszkę; Krystyna nie mogła jednak usunąć tej trucizny z jej pamięci. Panna Zubowska prosiła naprzykład, aby listy Kazimierza nie były adresowane do niej.

— Jabym dla ciebie, Krysiu, chodziła piechotą po listy na stację, gdybym miała pewność. Ale mi coś drży w sercu, kiedy pomyślę, że mogłabym się przyczynić do złego dla ciebie. Stara już jestem—nie obciążaj mi sumienia tą wątpliwością.

Krystyna wymyśliła natychmiast nowy adres przez Sidorkiewicza i nie zniechęciła się do wypróbowanej przyjaciółki. Ubywała jej wszelako jedyna słodycz pobytu w Rarogach: poufna rozmowa o Kazimierzu z osobą pewną i przekonaną. Powoli staruszka wyśpiewała wszystkie epitety i czarne rysy Kazimierza, słyszane od księżnej, z wyjątkiem jednak tej sceny w ogrodzie, która utkwiała w pamięci panny Zubowskiej, jak grot złamany i ropiący wstydliwie. Sądy księżnej mogły być nietrafne lub przesadne, ale ta „okropność” tak realistyczna nie mogła być przecie zmyślona. ...? Zwłaszcza te pończochy! Te pończochy czarne, ażurowe, z haftem (widziała te, które księżna miała na sobie podczas zwierzeń w pokoju Krystyny) prześladowały po nocach biedną starą pannę zmorami grzechu, od którego na nią samą padał jakiś cień współwiny.

Wielkim wysiłkiem wyrozumiałości starała się czasem tłómaczyć Kazimierza przez zapomnienie szalonej młodości. Ale jakże! W tym samym dniu, kiedy Krystynie mówił takie rzeczy podniosłe?! W tym samym parku, gdzie z nią chodził przed chwilą?! Ten obraz wżerał się coraz głębiej w wyobraźnię staruszki, stawał się jej męką niewypowiedzianą; nie podejrzewała już nawet, że jest ofiarą grubej, dyаметralnej do prawdy potwarzy.

Po nowym tygodniu Sidorkiewicz przyniósł jednak odpowiedź Kazimierza na drugi list Krystyny. Rokszycki pisał z Warszawy i niezupełnie tak, jakby pragnęła Krystyna. Oznajmiał naprzód, że żadnej uprzedniej wiadomości z Rarogów nie otrzymał; pisał potem ostrożnie, z paru zaledwie aluzjami do rozmów i do chaty Sidorkiewicza; następnie rozwodził się zbyt szeroko o techniku leśnym, który miał się zjawić w Rarogach z jego polecenia. Interesy materialne zajmowały dużo miejsca. Jednak ton listu energiczny i wzmianka przy końcu o upragnionem i pewnem zobaczeniu nie zachwiały w Krystynie wiary w szczerłość Kazimierza, zawiodły tylko nieco jej rozgrzaną wyobraźnię. Nie było słowa w liście, któreby można ucałować: przykroby trafić ustami na technika leśnego...

Wprawdzie Kazimierz odpowiadał na jej list drugi, o ile gorszy i zimniejszy od pierwszego! Ale może on sam jest technikiem, człowiekiem pracy i rachunku? To, co ludzie podli, sądząc po sobie, nazywają „spekulacją”, może być jego zaletą i potrzebą... Jednak to za mało. On jest większy, on przecie tu był i mówił tak gorąco o rzeczach dobrych i drogich. Przyjedzie znowu, bo obiecał, i rozproszy te wątpliwości...

XIV.

Długo siedział pan Apolinary w hotelu po przyjeździe do Wilna, zanim się doczekał powrotu Kazimierza już po północy. Rzekł po serdecznym przywitaniu:

— Skądże to pan Kazimierz? Oczy ci się świecą, jak w gorączce.—Przyznaj się, żeś poznał jakąś śpiewną litewską Filidę?... Mnie powiedzieć możesz—jestem kompanem do wszystkiego.

Rokszyci przeczył energicznie:

— Ani mi się śniło, wuju.

— No, tak po paru tygodniach suchego postu sny zdarzają się grzeszne. Ale na jawie pamiętaj, Kaziu, ostrożnie! Miałem niegdyś taki wypadek w Kaliszu...

— Niechże wuj da pokój! Zajmują mnie tu sprawy poważne.

— Oj, ta młodzież dzisiejsza!—ziewnął pan Apolinary.—Skądże wracasz? Nie z koscioła o pierwszej w nocy?

— Wracam z liczego zebrania, gdzie ludzie biali i czerwoni, spokojni i zagorzali rozprawiają sobie w najlepszej komitywie.

— To chyba knajpa, dobrodzieju mój?

— Nic podobnego. Mieszkanie poważnego obywatela, a kompania bardzo zamknięta. Nawet wyłączna. Dostałem się tam za protekcją.

Pan Apolinary coś już o tem słyszał, nierad był, że Kazimierz go uprzedził, więc mówił z nadąsaniem:

— Nie złapiesz mnie na te zebrania bezpartyjne. Dość ja ich próbowałem. Trembrem, wszechstronne oglądanie kwestyi, a w rezultacie figa. Gdzie kiedy socyał dogada się z realistą? Chyba o pieczeni? I to jeszcze!

— Mogą się nie dogadać, wuju, aż do zmiany zasad, ale mogą się bliżej poznać i zgodzić co do poszczególnych działań politycznych dla ogółu.

— Opowiadanie, dobrodzieju mój! Cóż tedy ciekawego tam usłyszałeś?

— Bardzo wiele trafnych powiadomień o sprawach bieżących.

— Więc taka sobie gazeta?

— Trochę więcej. Coś w rodzaju „związku rozumu narodowego”, o którym mówi mój ojciec.

(DCN)

HENRYK DUVERNOIS.

WYPADEK.

— Która godzina?

— Wpół do siódmej.

Pełen niecierpliwości, Karol Aubry żuł cygaro wygasłe. Przed kwadransem wrócił do domu i siadł naprzeciwko żony młodziutkiej przy kominku, na którym zwęglano się zwolna naręcze drzewa. Najpierw wzięła książkę do ręki, następnie zapatrzył się przed siebie zamyślony, znów zajął do książki, zapalił cygaro—słowem, całym szeregiem ruchów zdradzał stan zniecierpliwienia nerwowego, i to pod okiem łagodnym, lecz badawczym małżonki.

— Czy obiadujesz dziś w domu?—spytała wreszcie po dłuższym milczeniu.

Zanadto rozstrojony, by mówić, kiwnął tylko głową. Snadź myśl jakaś skupiła uwagę jego. Podniósł oczy ku pułapowi, aby uniknąć smutnego spojrzenia żony. Jakże jednak wymowne było to milczenie!

I po zamążpójściu Marya Ludwika Aubry zachowała godność i powściągliwość, piętno zwykłe wychowania klasztorowego. Blondynka ładna i elegancka, stworzona, zda się, do uśmiechów, zносиła los swój z rezygnacją spokojną. On był mężczyzną silnym i pięknym, o włosach najezo-

nych i jasnym, gęstym wąsie. Ręce o paznokciach, lekko zagiętych, posiadał wąskie i białe.

Oczy pani Aubry spoczęły na palcu jego serdecznym, na którym widniał pierścień ze skarabeuszem. Wiedziała, że wystarczyłoby unieść szpilką skrzydełka chrząszcza, aby ujrzeć pod nim portret delikatnej twarzyczki pięknej Blanki Courtois, przyjaciółki Karola. Gdyby zaś zechciała przeszukać kieszenie mężowskie, to niewątpliwie znalazłaby w nich listy kochanki. Pod kopertą zegarka przechowywał pukiel jej włosów. A serce jego zamieszkiwała wciąż ona, ta nieznaną, ta aktorka, niweczająca całe życie jej, żony prawowitej... O niej to on myśli teraz, co widać z uśmiechu, okalającego usta jego, uśmiechu, który zniknąłby od razu, gdyby żona rozwiła słówkiem czar marzeń.

A jednak od kilku już dni przesiadywał w domu, choć w przeciągu ostatnich dwóch lat nie było prawie dnia, aby nie ukuwał kłamstw impertynenckich, aby nie zmyślał podróży fantastycznych dla oderwania się od boku żony, gdy ona tymczasem cichutko oplakiwała los swój w wielkim, zimnym apartamencie. O bólu, jaki wywoływać musiało postępowanie takie, nie myślał wcale. Przeciwnie, zachowywał się względem niej brutalnie, szukał sprzeczki dla zerwania węzła, tak niezdolnie krępujących wolność jego! Lecz ona nie skarżyła się, nie dążyła w kierunku pułapek zastawionych. Pomimo wszystko usiłowała uśmiechać się, a każde mniej twarde słowo, każdy bardziej przyjacielski uścisk dłoni budził w niej nowe nadzieje, i wciąż wierzyła jeszcze, że zdoła go odzyskać, gdyż nie wiedziała, biedna, iż nigdy do niej nie należał.

Wszedł kamerdyner, niosąc na tacy srebrnej egzemplarz dziennika wieczornego.

— Niema listu?—spytał Karol.

— Nie, proszę pana.

— Proszę spuścić rolety i zapalić światło—rozkazała pani Aubry.

— Dziękuję—wtrącił Karol—widzę jeszcze dobrze. Możesz odejść—dodał do kamerdynera i zagłębił się w dzienniku.

Pani Aubry, zmieszana, nie wiedziała, co czynić. Szczęściem, nawinęła się jej pod ręką Minouche, kotka domowa. Pogłaskała więc miękkie futerko zwierzęcia, ale kotka najeżyła niezadowolona włosy. Wołała piękną rękę pana, umiejącą lepiej pieścić.

W salonie robiło się coraz ciemniej.

— Zepsujesz sobie oczy—zaczęła pani Aubry, musiała jednak przerwać zdanie rozpoczęte.

Karol zerwał się z fotelu i zmiął dziennik ręką, drżącą z bólu czy gniewu, po chwili zaś krzyknął tak strasznie, że okrzyk ten wstrząsnął Maryą od stóp do głowy...

Odkrył jej jednym zamachem całą głębię, cały ogień namiętności męża. Nie spytała nawet o przyczynę. Zresztą, Karol rzucił dziennik i wybiegł z salonu. Słyszała, jak zamknął się w sypialni swojej.

— Kobiecie tej stało się coś?—pomyślała—Ale co?

Wzięła dziennik do ręki i ujrzała w rubryce „Ostatnich wiadomości” kilka wierszy, które objaśniły jej wszystko. Pociąg pośpieszny zderzył się z towarowym. Byli ranni i zabici, a wśród nich „zachwycająca” Blanka Courtois z teatru „Variété”. Uśmiech rozjaśnił nagle twarz pani Aubry. Cisza, zalegająca salon, sprawiała jej przyjemność, powoli wszelako do serca wkradła się, jak widmo, obawa niewymowna. A nuż ciszę tę przerwie huk wystrzału? Zadrżała. Cicho, cichutko podniosła się z fotelu, przeszła pokoje, aż zatrzymała się, nasłuchując, u drzwi sypialni męża. Nie usłyszała nic, prócz stłumionego jęku, podobnego do narzekań dziecka, pozostawionego samotnie w pokoju. Ogarnęło ją współczucie głębokie.

— Karolu!—zawołała—otwórz! Błagam cię, otwórz!

Jęk ustał, ale drzwi pozostały zamknięte. Pani Aubry wróciła do salonu.

— Nie, Karol się nie zastrzeli. Takie zajścia kończą się samobójstwem w romansach.

Pięknie umeblowany salon wyglądał teraz niemal wesoło i przyjaźnie. Na kominku trzaskały świeżo dorzucone polana, lampy elektryczne w kandelabrach rozsiewały światło jasne i łagodne. Kamerdyner otworzył drzwi, wiodące do pokoju jadalnego. Widać było przez nie stół, bogato zastawiony kryształami i srebrem. Pośrodku strzelał ku górze wazon drogocenny z ulubionymi kwiatami pana domu.

— Odzyskam go—szepnęła z bijącym sercem i uczuła niecierpliwość wielką.

— Obiad będzie prędko gotów, nieprawdaz?—rzekła do kamerdynera.—Proszę powiedzieć kucharzowi, aby zważał na rosół. Niech będzie korzenny, jak pan lubi.

Wymawiała wyraz „pan” z dumą dziecięcą pierwszych dni poślubnych. Tylko odwagi. Wszystko pójdzie dobrze. Współzawodnictwo zmarłej nie wydawało się już jej niebezpieczne. Karol to samolub. Choroba i śmierć są mu wstrętne. W tym ogrzonym, wonnym, jasno oświetlonym salonie czuła się silną wobec tamtej, leżącej, być może, ze strasznie zmiażdżoną twarzą wśród zwalisk pociągu.

— Z telegrafu przyniesiono depeszę dla pana—oświadczył kamerdyner, stając we drzwiach i przerywając nic marzeń Maryi.

Wzięła zaniepokojona depeszę i znów, przeszedłszy pokoje, zapukała lekko do drzwi sypialni małżonka.

Nikt się nie odezwał. W pokoju panowała cisza grobowa. Zapukała więc mocniej, a potem jeszcze mocniej.

Żadnej odpowiedzi.

Okropnym strachem zakotała jej serce.

— Karolu—zawołała—miej litość! odpowiedź! Cisza zalegała sypialnię.

Rozerwała wówczas pieczęć depeszy i odczytała słowa następujące:

„Jestem zdrowa i wesoła. Proszę się nie martwić. Kocham cię. Wieczorem będę w naszym mieszkanku. Blanka”.

Głosem cichym, wiedziała bowiem, że głos ten dosłyszany będzie, rzekła przez drzwi:

— Karolu, jest depesza dla ciebie... Ona uratowana!...

Głęboko w sercu, tam, gdzie złe myśli przemieszkują, życzyła sobie, aby nie odpowiedział... nigdy już i nikomu.

Ale oto otworzyły się drzwi, gwałtownie pchnięte, i stanął w nich mąż jej, szepcząc głosem zdławionym:



Uśmiech rozjaśnił nagle twarz pani Aubry

— Dawaj, dawaj!
Podała.

Przeczytał depezę tak chciwie, jak pije spragniony szklankę wody, poczem zaczął biegać rozradowany po pokoju. Nie zapomniał nawet podziękować żonie.

— Jakżeś dobra! — mówił — jakżeś rozumna i wyrozumiała!

Zasiedli do stołu, jakby nic nie zaszło. Pani Aubry widziała twarz swą w zwierciadle. Oczy jej połyskiwały. Jakże brzydka była, jakże brzydka, biedna i samotna! Lecz płakać nie chciała.

Wysiłkiem woli zdławiła boleść i, zacisnąwszy usta, czekała, aby przeszło to nieznośne ściskanie w gardle.

A gdy przemogła je wreszcie i zapanowała nad sobą, ujęła półmiskę i podała z uśmiechem na ustach *hors d'oeuvre* mężowi.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

CUKIERNIA „POD FILARAMI”.

Komuż z Warszawiaków, bywalców, nie jest znana „Cukiernia Semadeniego” w gmachu Teatru Wielkiego, zwana potocznie „pod filarami”? Jest to jeden z najstarszych i zarazem najbardziej typowy zakład cukierniczy w naszym mieście. Od lat wielu, śmiało rzec można, przewija się tu „cała Warszawa” artystyczna, literacka, przemysłowa, finansowa i wogóle Warszawska, która myśli i działa, a przytem oddaje się życiu wielkomiejskiemu.

Wszystkie godziny dnia i wieczora są tu wypełnione kalejdoskopem publiczności. Przy stołach zmieniają się kolejno „kluby” aktorów, dziennikarzy, kupców, a nawet emerytów. W cukierni Semadeniego i wielki świat daje sobie *rendez-vous*. Tu są komentowane najświeższe telegramy polityczne, omawiane nowiny miejskie, ustalane opinie co do treści sztuk teatralnych oraz gry artystów. Cukiernia Semadeniego, ciesząca się najszerzą sympatją, zajmuje u nas niejako stanowisko salonu, zgromadzającego wszystkie warstwy inteligencji miasta.



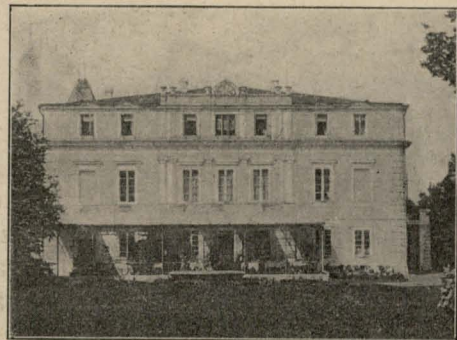
Werenda cukierni „pod filarami”.

NAŁĘCZÓW.

Do rzędu najstaranniej i najumiejtniej urządzonych letnisk, oraz zakładów leczniczych w kraju, należy Nałęczów, który też w ciągu niemal trzydziestu lat istnienia, zyskuje coraz szerszy rozgłos i powodzenie u ogółu publiczności.

Założony w końcu XVIII wieku przez Małachowskich, herb Nałęcz, wskrzeszony w roku 1880 przez ś. p. d-ra Fortunata Nowickiego, Nałęczów, dzięki źródłom mineralnym (Szczawa żelazista), Ukazem Najwyższym z dnia 31 stycznia 1901 roku uzyskał znaczenie użyteczności publicznej. Wzniesiony na 217 metrów nad poziom morza, otoczony wzgórzami, porośnięty lasem iglastym, osłonięty od surowych wiatrów, Zakład Nałęczowski, pełen zacisza, wykwintu i wygod nowoczesnych, wybornie odpowiada warunkom letniska. Na całość wygód, rozrywek i przyjemności składają się tu: wycieczki malownicze (do Wąwozów, Góry Krzyżowej, Lasku, zaś z dalszych do Kazimierza, Janowca, Lublina, Puław i innych), starodrzew parku, okazały kursal z salą balową, restauracją, werandą, czytelnią i t. p., 200 pokoiów w pałacu, oraz 10 oddzielnych domków na lokale, stała orkiestra, reuniony, odczyty i zabawy—oto obiecująca suma warunków, jakie oczekują goście, miłujących wygodę, komfort i umiarkowane ceny.

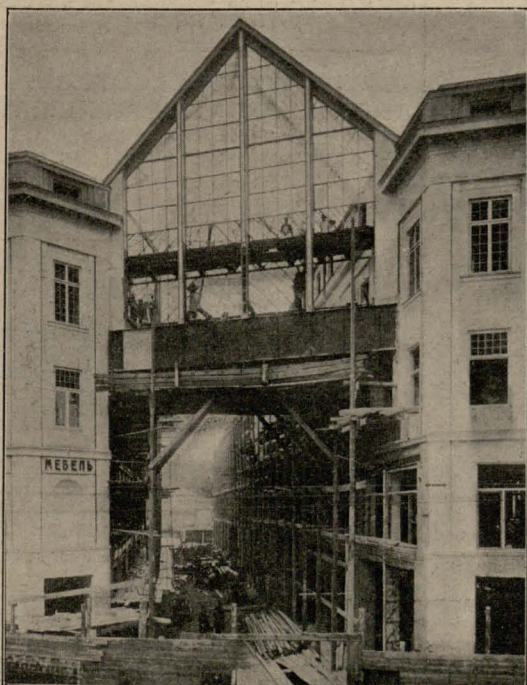
Z ogólnego szkicu i ze szczegółów, jakie podamy w następnych numerach, przekonać się musi każdy, że bez jeżdżenia zagranicę możemy u nas w kraju osiągnąć wiele dla zdrowia, pamiętając o zasadzie: popierajcie swoje rzeczy.



Pałac w zakładzie nałęczowskim.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przeszła na własność **GEBETHNERA i WOLFFA**.

GALERYA LUXENBURGA.



Galerya Luxenbarga.

cyta dołączona przedstawia fronton wielkiego gmachu „Galeryi Luxenbarga”, wzniesionej nakładem znanego działacza na polu przemysłu, oraz obywatela, p. Maksymiliana Luxenbarga. Jak nas poucza poziom załączony, Galerya, już bliska wykończenia, zawiera 700 pokoiów, umyślnie przeznaczonych na hotel, lub inne cele podobne, lokal na wielką kawiarnię (dotychczas największą w Warszawie), sale, mogące pomieścić 20 bilardów i t. p. Na parterze znajduje się szereg sklepów wielko-otworowych, w których w miarę potrzeby mogą być urządzone magazyny lub lokale biurowe; podziemia duże i głębokie nadają się też doskonale na składy wszelkiego rodzaju, ewentualnie na stworzenie podziemnej ulicy z modnymi magazynami z obu stron.

Projektodawca zamierza urządzić schody ruchome, automatycznie podnoszące przechodniów z ulicy na powierzchnię.

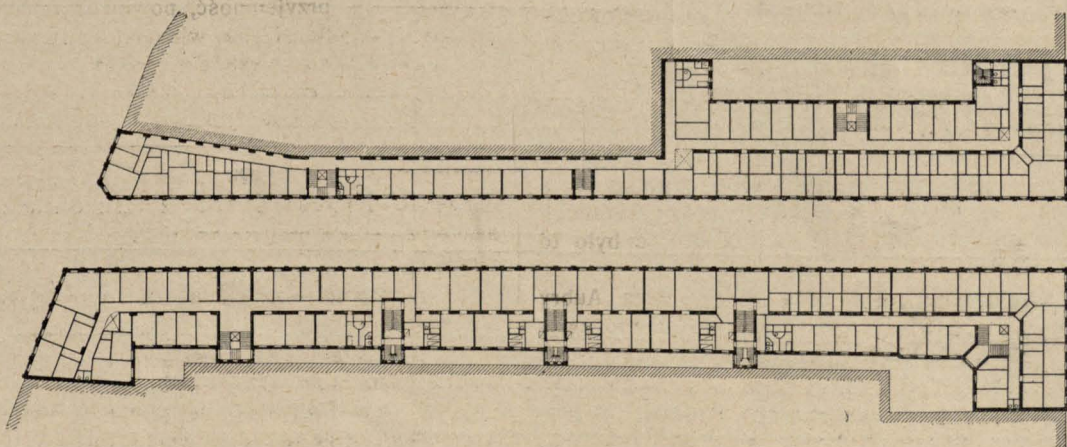
W ulicy podziemnej mają się umieścić składy obuwia, wyroby koszykarskie i wogóle przedmioty użytku domowego.

Szeroki rozmach w obmyśleniu Galeryi, przypominającej kwitnące i ożywione przedsięwzięcia podobne w wielkich miastach zagranicznych, u nas zawdzięczać trzeba przedsiębiorczości, energii i rzetelności jednego człowieka, który myśl swoją wcielił w czyn pośrednio i w celu nadania *Old City* Warszawy charakteru życia i poloru wielkomiejskiego.

Zarząd Galeryi przy ulicy Senatorskiej Nr 29 wszystkim, zainteresowanym rozkładem gmachu i lokali poszczególnych, z gotowością i uprzejmością udziela wszelkich informacji.

Roboty są prowadzone z takim pośpiechem, iż Galerya będzie nieodwołalnie otwarta dnia 1-go lipca r. b.

Ulica Senatorska.



Ulica Niecała.

Plan sytuacyjny pierwszego piętra.

Warszawie, a mianowicie jej dzielnicy najbardziej handlowej i usianej sklepami najzamożniejszych firm kupieckich, przybiera nowy, a potężny bodziec rozwoju przemysłowego. Ilustra-

Wody mineralne naturalne

świeżego czerpania nadeszły i takowe poleca

E. Filleborn Apteka

Marszałkowska 87
róg Wspólnej
Telefon 14-79.

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

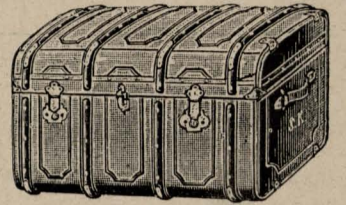
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MYDŁO Z MLEKA LILOWEGO „KONIK“

BERGMANN i S^{KA} RADEBEUL - DREZNO
daje rumiany, młodzieńczo-świeży wygląd,
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę
oraz delikatną, osłepiająco piękną cerę.

Po 50 kop. dostać można wędzie.
Główny skład na Państwo Rosyjskie:
BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW
ST. PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.



POŁĄGA

pensjonat Laury Colonna Walewskiej, willa „Świtez“ nad
brzegiem morza. Pokoje, wygodnie urządzone, od 50 kop.
do 3.50 dziennie, sezonowo od 30 do 150 rb., kuchnia wy-
kwintna, całodziennie utrzymanie rb. 1 kop. 75, w „Świtez“.

Wynajem mieszkań z kuchniami w willach hr. Zofii Tys-
kiewiczowej. Warszawa, Hortensya 5, m. 8. Telefon 11-10,
od 4 do 6.

LECZNICA D-ra TARNAWSKIEGO W KOSOWIE

za Kołomyją, w Galicyi, otwarta od 1 maja do końca października. Klimat
ciepły górski. Prospekty w księgarni Arcta.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na
provincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY

GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

HENRYK MICHAUX LEKARZ DENTYSTA

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ

powrócił.
Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza
i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych,
do 10 rano i od 5-7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłod-
na Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo po-
ważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślne wyniki
w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwa-
jący łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE“, wyrabiane w „Cen-
tralnym Laboratorium Chemicznym“ (Czekaj i Krysiwicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich.
Sprzedaż w składach aptecznych.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta STEFAN ŻYCKOWSKI

NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON“, Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn
„FENOMEN“ do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

KALODONT

Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

PASTILLES

DE

TAMAR
INDIEN
GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudeł-
kach po 12-cie pastylek
i pół-pudełkach po 6 pa-
stylek z podpisem

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod
własnym zarządem. Centrum miasta.



Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBA-
DZIE „Raphael“.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY D-ra ROBERTA BERNHARDTA

ordynatora szpitala św. Łazarza
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rent-
gena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Ar-
sonwalizacją. Choroby weneryczne.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACH i S^{KA}
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY
GOTOWE i NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.